

Luksusowe choroby

Nie zabija nas to,
czego się boimy, tylko to,
co zaniedbujemy

M3



RYŚ. PATRYK KOCH, FOT. UNSPLASH (7)

Wywiad / M8

Lewica nie może się bać konfliktów

Żeby nie dopuścić do powrotu faszyzmu, liberalowie i lewica muszą wspólnie stworzyć alternatywę – tak jak zrobili to po II wojnie światowej
mówi David Ost

Rosja / M14

Wilki czują zmianę

Rosyjski ultranacjonalista, opisując obecną sytuację kraju, użył słowa „Cuszima”. Trudno o ostrzejszą i więcej mówiącą metaforę. „Cuszima” to klęska
pisze Piotr Skwieciński

Gospodarka / M18

Kto zapanuje nad cieśniną Ormuz

Odcięcie dużej części dostaw surowców energetycznych z nad Zatoki Perskiej uczyniło z USA największego eksportera ropy naftowej i paliw na świecie
analizuje Tomasz Józwiak

Migracje / M10

Mit ukraińskiego przywileju

Ukraińcy są jedną z najlepiej zintegrowanych grup uchodźczych w Europie. Dlaczego więc kolejne państwa ograniczają im świadczenia przyznane po wybuchu wojny?
sprawdza Karolina Wójcicka

Esej / M23

Co zmieniłoby referendum?

Od polityków oczekujemy, że będą rozwiązywać problemy społeczne i gospodarcze. Rządziej myślimy o władzy, która polega na definiowaniu tych problemów
pisze Konrad Werner



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Aby nie wyjść zarazem na durnia i na świnię

Jan Wróbel

Naszą narodową tożsamość zbudowaliśmy na sprzeciwie wobec niewoli i pogardzie dla biernej postawy wobec zła. Napaść Rosji na Ukrainę była złą, odwracanie się od Ukrainy, chociażby nie wiem jak inteligentnie uzasadniane, to wspieranie zła. Polscy zwolennicy niepodległej i zwycięskiej Ukrainy przeżywają jednak ciężkie chwile. Ich postawa wygląda na naiwną i prostoduszną.

Z jednej strony Donald Trump. A to zapowiada rychły koniec wojny, a to ogłasza Putina dobrym przyjacielem i tnie pomoc dla Ukrainy. A następnie utrzymuje kłuczowe poparcie (system naprowadzania dronów), oburza się na Putina, deklaruje wraz z innymi przywódcami Zachodu, że Rosja jest największym zagrożeniem dla pokoju. Raz wspiera NATO, raz się na nie obraża. Chwali bohaterstwo ukraińskiej armii, jednocześnie niemal wyrzuca Zełenskigo z Białego Domu, by, naprawdę nieoczekiwanie, ogłosić niedawno, że wszystko się zmieniło, a Zełenski to równy gość.

Z drugiej strony emocje narodu polskiego. Przez długi czas zmienne, a ostatnio stabilne – niechętnie Ukraincom. Wielu polityków nastawiło żagle pod tak wiejący wiatr, i to często takich, którzy przez lata wspierali dobre relacje na linii Kijów-Warszawa. Wydaje się nawet, że przynajmniej część Polaków odreagowuje niedawny entuzjazm

dla sprawy ukraińskiej, miotając obelgi na niewdzięczny Kijów. A w politycznym żargonie 2026 r. upowszechnia się pogląd, że w polityce nie ma przyjaciół, są tylko interesy. Skądinąd dobrze pamiętać, co napędza politykę, ale czemu wypierać inną prostą prawdę – nasze życie napędzają i interesy, i ideały. Idealizm to nie naiwniactwo, lecz wyzwanie.

A z trzeciej strony Kijów. Proniemiecki, a nie propolski, lekceważący przyjaciół, o ile ci nie podkładają mu nogi, jakby mający w nosie, co tam sobie ci Polacy czują. Kiedy podczas niedawnego szczytu NATO w Ankarze prezydent Zełenski mówił, że „musimy być konstruktywni i delikatni, aby nie zniszczyć ważnych, przyjaznych, sąsiedzkich relacji między Ukrainą a Polską”, to mówił pięknie. Tyle że nie tylko treść wypowiedzi jest ważna, lecz także wiarygodność. Polityka Zełenskigo nie była konstruktywna i delikatna wobec Polski. Dlaczego miałaby być taka w przyszłości?

Lekcja z popierania Ukrainy walczącej o wolność z Rosją jest poniekąd taka: kto pomaga, nie faulując sojusznika, wychodzi na durnia. Tyle że to i tak lepiej, niż obojętnie patrzeć na los kraju walczącego z jarzmem Moskwy. Bo wtedy wychodzi się zarazem na durnia i na świnię.

©P



FOT. JULIA ZIMMERMANN/LAIF/FORUM

Rosja / M13

Do ostatniej kropli taniego diesla

Problem pustego baku to tylko część ekonomicznych skutków ukraińskich ataków na rosyjską infrastrukturę naftową
zauważa Kacper Wańczyk

DGP

Magazyn
na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkiewicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:
Anna Masłoń (kierownik),
Piotr Czarnowski, Emilia
Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie: Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja
oraz Kadry i Place:
Agata Eichler,
Joanna Pieńczykowska-
Rybaczek (tygodnik SiA), Leszek
Jaworski (tygodniki KiP i UIŚ)

Wydawca Dziennika
Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do
redagowania i skracania tekstów.
Rozpowszechnianie materiałów
redakcyjnych zarówno w formie elek-
tronicznej, jak i papierowej bez zgody
wydawcy jest zabronione.

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykl, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwa wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ® – znak odpłatności; ©® – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz,
Izabela Rakowska-Boroń
(tygodnik FiP)

Projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wierczkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.

Zamówienia na prenumeratę
przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje
o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Więcej niż gazeta: **DGP.pl**
video, podcasty, analizy na

Luksusowe choroby



(przeżranie organizmu) jest głównym mechanizmem prowadzącym do nieodwracalnego uszkodzenia narządów i śmierci. Z pewnością było tak w przypadku małej Rozalki, siostry tytułowego Antka z noweli Bolesława Prusa, którą znachorka zaleciła leczyć sesją w rozgrzanym piecu. W prawdziwym życiu upał częściej przyspiesza tylko niosące śmierć procesy u osób z już istniejącymi, poważnymi chorobami przewlekłymi, głównie sercowo-naczyniowymi i układu oddechowego. Dlatego wiele nadwyżkowych zgonów podczas upałów to raczej zgony osób, które bez upału zmarłyby niewiele później. Niestety, mieszanie czynników ryzyka z przyczynami oraz błędna ocena ich faktycznego oddziaływania obniżają skuteczność profilaktyki, która powinna być przecież oczkiem w głowie wszystkich, którym na sercu leży zdrowie narodu. Dla kogoś chorego na miążdżycę lepszą radą niż „kup sobie klimatyzację na okoliczność upałów” jest „kup sobie klimatyzację, ale przede wszystkim rzuć palenie, czerwone mięso i trochę pobiegaj”. Problem w tym, że ta druga rada nie sprzedaje się dobrze w mediach – jest złożona, wymaga refleksji i realnej zmiany osobistej, a nie jednorazowego działania.

Nawet gdy media dokonują poprawnego rozróżnienia między przyczyną zgonu a czynnikami ryzyka, to i tak robią to często w sposób, który zakrawa na szkodliwą dezinformację. Co bowiem łączy artykuł informujący, że „spożywanie 9 g alkoholu dziennie wiąże się z 50-procentowym wzrostem ryzyka raka jamy ustnej” z artykułem przestrzegającym, że „każde 50 g przetworzonego mięsa dziennie zwiększa ryzyko raka jelita grubego o około 18 proc.”? To, że w obu z nich podane jest wyłącznie ryzyko względne, a brakuje wartości, bez której informacja ta jest niemal całkowicie bezwartościowa – ryzyka bezwzględnego. W rezultacie artykuły tego typu (a jest ich zatrzęsienie) niosą wiadomości wywołujące nieadekwatny efekt emocjonalny. Jeśli nie wiemy, ile wynosi bezwzględne ryzyko złamania nogi, to jego względny wzrost o 50 proc. w wyniku skakania na jednej nodze może się nam wydać tak przerażający, że za wszelką cenę zaczniemy unikać tej rozrywki. Do chwili, gdy dowiemy się, że wartość bazowa to jeden przypadek na 1 mln rocznie...

Statystyki złamań zmyśliłem w celach ilustracyjnych. Nie zmyśliłem natomiast danych dotyczących raka jelita grubego, a te faktycznie są alarmujące. Krajowy Rejestr Nowotworów podaje, że przeciętne ryzyko zachorowania na raka jelita grubego do 79. roku życia wynosi w Polsce ok. 4 proc. Badania istotnie wskazują, że codzienne spożywanie dodatkowych 50 g przetworzonego mięsa wiąże się ze wzrostem względnego ryzyka zachorowania o 18 proc. Gdyby ten wskaźnik wprost zastosować do przeciętnego ryzyka w polskiej populacji, wzrosłoby ono z 4 proc. do ok. 4,72 proc., co odpowiadałoby ok. 720 dodatkowym zachorowaniom na 100 tys. osób do 79. roku życia. Na poziomie jednostki oznacza to dodatkowe ryzyko wynoszące ok. 0,72 proc., czyli jeden dodatkowy przypadek na ok. 139 osób, które

przez lata codziennie spożywałyby dodatkowe 50 g przetworzonego mięsa. Jest to pewne uproszczenie metodologiczne: w praktyce nie jest to wartość bazowa, bo rozkład spożycia mięsa jest nierównomierny. Mimo wszystko brzmi to na tyle alarmująco, by ograniczyć spożywanie hot dogów na stacjach benzynowych, ale czy rezygnować z nich całkowicie? Odpowiedzieć na to powinien każdy sam sobie.

Pokaż mi PKB, a powiem ci, na co umrzesz

Na stronie Our World in Data znajdziemy statystykę globalną za 2023 r. Okazuje się, że najczęściej ludzi umarło w tym roku na choroby serca (32 proc. z 60 mln zgonów), nowotwory (18 proc. zgonów), przewlekłe choroby układu oddechowego (6,9 proc.), cukrzycę i choroby nerek (5,9 proc.), choroby neurologiczne (5 proc.), choroby układu pokarmowego (4 proc.), inne cho-

roby niezakaźne (3,3 proc.), infekcje układu oddechowego (5,6 proc.), w wyniku wypadków komunikacyjnych (2,4 proc.), na pozostałe choroby zakaźne (2 proc.), biegunki (1,8 proc.) oraz gruźlicę (1,7 proc.). Co ciekawe, więcej osób popełniło samobójstwo (1,3 proc.), niż zostało zabitych (0,73 proc.).

Najbardziej znacząca obserwacja ogólna? Tylko 14 proc. zgonów to wynik chorób zakaźnych, choć jeszcze w 1980 r. wskaźnik ten wynosił aż 31 proc. Ta radykalna zmiana w tym, na co chorują i umierają ludzie, nazywana jest przejściem epidemiologicznym.

Teorię przejścia przedstawił w latach 70. XX w. egipsko-amerykański epidemiolog Abdel Omran. Wyodrębnił on trzy główne jego etapy. Era plagi i głodu, w której ludzkość była całkowicie bezbronna wobec natury, skończyła się mniej więcej z końcem XVIII w. Ustąpiła wówczas erze cofających się pandemii. Stało się to pod wpływem takich czynników jak poprawa higieny osobistej, rozwój miejskich systemów sanitarnych czy stwo-

rzenie pierwszej szczepionki przeciwko ospie prawdziwej. Obecnie żyjemy w erze chorób zwyrodnieniowych i cywilizacyjnych. Świat wszedł na ten etap z grubsza 100 lat temu – to wtedy w wyniku postępu technologicznego wskaźniki śmiertelności ustabilizowały się na niskim poziomie, a średnia długość życia wyraźnie przekroczyła 50 lat.

To wszystko jednak wielkie uproszczenie. Świat? Jaki świat? Przecież przejście epidemiologiczne nie rozpoczęło się w tym samym momencie ani tym bardziej nie przebiegało równomiernie na całym globie. W Afryce choroby zakaźne stanowią wciąż przyczynę aż 38 proc. zgonów, z rekordzistami takimi jak Czad, gdzie wskaźnik ten wzrasta do 50 proc. To kraje Zachodu – Europy i Ameryki Północnej – były epicentrum epidemiologicznego przejścia. Tam się już ono zakończyło. Z kolei w wielu krajach Azji, Ameryki Łacińskiej czy Afryki rozpoczynało się ono z opóźnieniem (zwykle po II wojnie światowej, gdy dotarły tam antybiotyki, szczepionki i środki owadobójcze) i wciąż trwa.





RYS. PATRYK KOCH, FOT. UNSPLASH (11)

W praktyce przyczyny zgonów okazują się więc funkcją etapu rozwoju gospodarczego. Jeśli w danym kraju PKB na osobę jest niski, to choroby zakaźne wciąż stanowią tam prawdopodobnie duży problem. W krajach bogatych natomiast dominują choroby serca, nowotwory, alzheimera oraz demencja. Te dwie ostatnie awansują na czoło dopiero wtedy, gdy ludzie masowo dożywają wieku ich ujawnienia, więc są to w pewnym sensie choroby luksusowe. Biedni tego świata (statystycznie) nie dożywają do wieku, w którym mogliby ich doświadczyć. Nas, Polaków, już na te choroby „stać”. Przykładowo zapadalność na alzheimera wzrosła u nas przez ostatnie 30 lat ok. 2,5-krotnie – schorzenie to dotyka obecnie ok. 360 tys. z nas.

Dobra interwencja

Polska ma już za sobą przejście epidemiologiczne. Najwięcej z nas do śmierci doprowadzą choroby układu krążenia lub nowotwory, które łącznie

odpowiadają za 62 proc. zgonów. Resztę stanowią głównie choroby układu oddechowego i pokarmowego oraz urazy i zatrucia.

Przejście epidemiologiczne na Zachodzie trwało z grubsza sto lat. Takie kraje jak USA, Anglia, Francja czy Niemcy miały czas na wzbogacenie się. Dzięki temu mają spore zasoby, które – przy dobrych instytucjach – mogą poświęcić na relatywnie skuteczne leczenie starszej populacji. Tam, gdzie to się udaje, zgony z przyczyn zwyrodnieniowych zaczęły się przesuwac ku coraz starszemu wiekowi, co z kolei może zmniejszać systemowe koszty generowane przez starzejące się społeczeństwa.

W krajach, które weszły na ścieżkę rozwoju gospodarczego w II połowie XX w. – takich jak Chiny, Korea Południowa czy Polska – przejście to trwa zaledwie 30–40 lat. Bywa, że kończy się, zanim proces bogacenia się wejdzie w odpowiednio zaawansowaną fazę. Taki los czeka zapewne Chiny. Tylko 5,6 proc. zgonów w tym kraju to choroby zakaźne, ale

społeczeństwo starzeje się w szybkim tempie, a jednocześnie obywatel tego kraju jest wciąż mniej więcej dwukrotnie biedniejszy niż Polak, jeśli stosować tu miarę PKB per capita ważone siłą nabywczą. Dziś w Chinach żyje kilkanaście milionów osób z demencją, dla których brakuje środków na opiekę i leczenie. Ogółem liczba seniorów wynosi tam już ponad 300 mln i wzrośnie do ponad 400 mln w 2035 r., co jest jedną z głównych przyczyn prognozowanego wzrostu kosztów ochrony zdrowia (z ok. 1,3 bln dol. do ponad 2,5 bln dol. w ciągu 10 lat). Jednocześnie dynamika rozwoju gospodarczego Chin już od kilkunastu lat niemal nieustannie spada, co oznacza, że szanse na udźwignięcie tego ciężaru maleją. Problemu tego z pewnością nie rozwiąże ewentualne zajęcie Tajwanu, zalanie Europy kolejną porcją aut elektrycznych ani seria trzygodzinnych przemówień Xi Jinpinga...

Paradoksalnie problemy zdrowotne znacznie prościej rozwiązać w krajach najbiedniejszych. Tam niewielkie i niezbyt kosztowne interwencje przynoszą bardzo wysokie zwroty.

Bjorn Lomborg w książce „Naprawa świata w 12 krokach” przytacza przykład resuscytacji noworodków. „Spośród 2,3 mln zgonów noworodków na świecie każdego roku ponad jedna trzecia jest spowodowana niedotlenieniem, bo dziecko po prostu nie może rozpocząć bądź utrzymać oddychania. Rozwiązaniem jest resuscytator, czyli maska z ręczną pompką, która może wtłaczać powietrze przez usta niemowlęcia do jego płuc. Koszt tego urządzenia to 75 dol. Zapewniając dostęp do niego w krajach ubogich, można za 10 mln dol. uratować życia niemal 2 mln noworodków” – pisze Lomborg.

Wymarzona średnia

A jak jest w Polsce? Według statystyk OECD z 2025 r. oczekiwana długość życia w Polsce wynosi trochę ponad 78 lat, niemal trzy lata poniżej średniej dla całej OECD. Jednocześnie, jak wynika z dokumentu „Sytuacja zdrowotna ludności Polski 2025”, aż dwie trzecie zgonów osób poniżej 75. roku życia wiąże się z przyczynami możliwymi do uniknięcia. Umieralność możliwa do zapobieżenia (m.in. w drodze profilaktyki) w Polsce to 202 przypadki na 100 tys. osób, w OECD średnio 145. Podobnie jest z umieralnością możliwą do wyleczenia – 114 na 100 tys. osób u nas, 77 w OECD. Oznacza to, że mamy olbrzymią przestrzeń do poprawy, bo gdybyśmy dorównali do średnich, ocalilibyśmy życie 94 osób na 100 tys. mieszkańców rocznie. Czy to nie byłoby wspaniałe?

Oczywiście, że tak, pod warunkiem że wydłużymy obecnie niesatysfakcjonującą, choć oscylującą wokół unijnej średniej, długość życia w zdrowiu (62 lata dla mężczyzn, 65 dla kobiet). Co należałoby zrobić? Oczywiście to, co dotąd robiliśmy dobrze. Na przykład skutecznie redukowaliśmy liczbę śmierci w wypadkach komunikacyjnych (z prawie 8 tys. rocznie w 1991 r.

do ok. 1,9 tys. obecnie). Jest oczywiście jednak, że nawet osiągnięcie poziomu o nie wpłynęłoby bardzo znacząco na ogólne statystyki zgonów (w samym 2025 r. zmarło 406 tys. Polek i Polaków).

Powinniśmy raczej się skupić na chorobach układu krążenia i nowotworach, które wspólnie odpowiadają za ponad 60 proc. z tych zgonów. I tu wracamy do kwestii czynników ryzyka. To, że trzeba je redukować, to wiadomo. Ale czy wszystkim czynnikom należy poświęcać jednakową uwagę? To byłoby marnowanie zasobów. Teoretycznie można by (trzymając się upałów) wdrożyć program dopłat „Klimatyzacja w każdym domu”, ale – jak już ustaliliśmy – odsunęłoby to w czasie zgony, które i tak się szykowały. Klimatyzacja to tylko niewielka i nienajważniejsza część rozwiązania. W Polsce za dużą liczbę przypadków śmierci (różne szacunki mówią, że od ok. 19 tys. do ponad 40 tys. rocznie) odpowiada pośrednio nie tyle gorące, co zanieczyszczone powietrze, które współwywołuje lub zaostrza chorobę niedokrwienną serca, udary mózgu, astmę czy choroby płuc. Innym poważnym czynnikiem ryzyka jest otyłość, której według szacunków Global Burden of Disease można przypisać w Polsce ok. 41–42 tys. zgonów rocznie (dane za 2023 r.). Zwiększa ona ryzyko rozwoju choroby niedokrwiennej serca i udaru mózgu, nadciśnienia tętniczego, cukrzycy typu 2, przewlekłej choroby nerek i wielu innych schorzeń. Oczywiście potężnym czynnikiem ryzyka dla zdrowia Polaków jest też nasz system ochrony zdrowia – z kolejnymi i wciąż słabą diagnostyką.

To wszystko rzeczy znane, a jednak nie traktujemy ich wystarczająco poważnie w sposób systemowy. W kwestii zanieczyszczenia powietrza władza ogranicza się do zakazów (strefy czystego transportu) i kulawej redystrybucji, jak w ramach programu „Czyste powietrze”. Walkę z otyłością wykorzystuje do celów fiskalnych, by mieć usprawiedliwienie dla wprowadzania kolejnych podatków, z których wpływów potem nie przeznaczają jednak na profilaktykę. Reformę służby zdrowia blokują lobby lekarskie i strach rządzących, że jakkolwiek próba racjonalizacji systemu opierająca się np. na rozwiązaniach rynkowych rodem z Holandii czy Szwajcarii zepchnie ich w polityczny niebyt. W rezultacie straszy się nas – bo to łatwe – morderczymi imigrantami albo szalonymi kierowcami, gdy najważniejszą przyczyną śmierci jest u nas zwykłe zaniedbanie. Warto wykorzystać ostatnie skandale wokół ochrony zdrowia, by odzyskać właściwą perspektywę.

©©



Sebastian

Stodolak

wiceprezes Warsaw Enterprise Institute

FOT. WOJTEK GÓRSKI

REKLAMA

Pieniądze z KPO to mocny konkret dla polskiej kolei

Krajowy Plan Odbudowy i Zwiększania Odporności (KPO) stał się jednym z najważniejszych impulsów inwestycyjnych dla polskiej kolei. Dzięki środkom z KPO Polskie Linie Kolejowe S.A. realizują 41 przedsięwzięć, które przekładają się na codzienne podróże, większą przepustowość sieci, wyższy poziom bezpieczeństwa i lepsze warunki prowadzenia ruchu pociągów. Od linii regionalnych po ważne ciągi towarowe efekty inwestycji są widoczne zarówno dla pasażerów, jak i przewoźników. O tym, czego PLK nauczyły się podczas realizacji programu pod wyjątkową presją czasu, jak inwestycje zmieniają kolej w regionach i dlaczego wzmacniają odporność państwa, rozmawiamy z Piotrem Wyborskim, prezesem zarządu Polskich Linii Kolejowych S.A.



Piotr Wyborski

Prezes Zarządu
– Polskie Linie Kolejowe S.A.

KPO jest programem realizowanym pod wyjątkową presją czasu. Czy z perspektywy zarządcy infrastruktury jest to również egzamin z efektywności całej branży kolejowej?

Zdecydowanie tak. KPO pokazuje, że skuteczność inwestycji kolejowych zależy nie tylko od dostępnego finansowania, ale również od jakości przygotowania projektów, sprawności decyzji, dobrej koordynacji prac i współpracy całego rynku. Przy tak krótkiej perspektywie realizacji każdy z tych elementów ma bardzo duże znaczenie. Musieliśmy szybko przejrzeć portfel projektów, ocenić ich gotowość, uporządkować harmonogramy i wybrać te zadania, które mogły przynieść realny efekt w krótkim czasie.

To wymagało bardzo dobrej koordynacji: od przygotowania dokumentacji, przez uzgodnienia, po współpracę z wykonawcami i prowadzenie robót przy utrzymaniu ruchu pociągów. Dobrym przykładem skali tych wyzwań jest przebudowa linii kolejowej nr 8 na odcinku Kraków Główny – Tunel. To jedna z najważniejszych tras w Polsce, po której każdego dnia kur-

sują pociągi dalekobieżne, regionalne i towarowe. Prowadzenie robót przy jednoczesnym utrzymaniu ruchu wymagało ścisłej współpracy z przewoźnikami i wielu zmian w organizacji ruchu. Dziś efekty są coraz bardziej widoczne – powstają nowe tory, przebudowywane są stacje i obiekty inżynierskie, a po zakończeniu inwestycji zwiększy się przepustowość całego ciągu Kraków – Kielce – Radom – Warszawa.

Najważniejsze doświadczenie jest takie, że kolej potrafi działać sprawnie, jeśli jasno określimy priorytety, dobrze przygotowujemy projekty i konsekwentnie pilnujemy ich realizacji. To lekcja, która zostanie z nami na kolejne lata i którą będziemy wykorzystywać przy następnych programach modernizacyjnych.

Czy dostrzegają już Państwo, że inwestycje z KPO zmieniają zachowania pasażerów i przewoźników?

Tak, i to jest jeden z najważniejszych efektów tych inwestycji. Infrastruktura kolejowa sama w sobie nie jest celem. Celem jest to, żeby dzięki niej pociągi mogły kursować sprawniej, częściej i bardziej przewidywalnie, a pasażerowie oraz przewoźnicy mieli realny powód, żeby wybierać kolej.

Dobrze widać to na Mazurach, gdzie modernizacja i elektryfikacja linii Ełk – Giżycko – Korsz pozwala na odbudowę znaczenia kolei w północnej części województwa warmińsko-mazurskiego. Powrót pociągów na cały odcinek ma sens nie tylko dlatego, że sama infrastruktura jest nowocześniejsza. Najważniejsze jest to, że przewoźnicy mogą rozwijać ofertę, a mieszkańcy i turyści zyskują więcej możliwości podróży. To są realne korzyści: sprawniejsze przejazdy, lepsze skomunikowanie regionu i bardziej ekologiczny transport.

Takie przykłady pokazują, że dobrze zaplanowana inwestycja uruchamia

efekt domina. Najpierw poprawiamy parametry linii, potem przewoźnicy mogą przygotować atrakcyjniejszą ofertę, a następnie pasażerowie zaczynają częściej korzystać z kolei. Właśnie o taki trwały efekt chodzi w KPO: o infrastrukturę, która nie kończy się na placu budowy, tylko zaczyna pracować w rozkładzie jazdy.

Które przedsięwzięcia najlepiej pokazują skalę zmian realizowanych dzięki środkom z KPO?

Skala jest bardzo szeroka, bo mówimy o inwestycjach prowadzonych w różnych częściach kraju i na liniach o odmiennym charakterze. Część z nich ma znaczenie regionalne, część wpływa na połączenia międzywojewódzkie, a część wzmacnia ważne korytarze transportowe dla gospodarki.

Na Sudecczyźnie prace prowadzone w ramach projektu Podłęża – Piekietko pokazują, jak kolej może wracać do miejsc, w których przez lata jej rola była ograniczona. Odbudowa i modernizacja kolejnych odcinków linii nr 104 to ogromna zmiana dla południowej Małopolski. Nowe tory, zelektryfikowana infrastruktura, nowoczesne systemy sterowania ruchem i wygodniejsze perony oznaczają lepszą dostępność transportową, krótsze podróże i większy potencjał rozwoju całego regionu.

KPO to również modernizacja ważnych linii regionalnych. Dobrym przykładem jest przebudowa odcinków Kluczbork – Wołczyn oraz Bierutów – Oleśnica na linii kolejowej nr 143. Dzięki tej inwestycji poprawiają się parametry eksploatacyjne trasy, wzrośnie niezawodność prowadzenia ruchu i komfort podróży, a linia zyska większe znaczenie jako alternatywny ciąg komunikacyjny dla sieci kolejowej w południowo-zachodniej Polsce.

Nie wszystkie inwestycje muszą mieć wartość liczoną w miliardach złotych, aby zmieniały funkcjonowanie kolei. Dobrym przykładem jest budowa

mijanki Bydgoszcz Fordon na linii kolejowej nr 209. Dzięki temu możliwe stanie się sprawniejsze prowadzenie ruchu, zwiększenie częstotliwości połączeń oraz stworzenie lepszych warunków do rozwoju kolei aglomeracyjnej w największej dzielnicy Bydgoszczy. To pokazuje, że czasem niewielka inwestycja może znacząco zwiększyć możliwości całej linii.

Zaawansowane prace prowadzone są także na linii nr 97 między Suchą Beskidzką a Żywcem. Jakie znaczenie ma ta inwestycja?

To ważna inwestycja dla połączeń w Beskidy i relacji między województwem małopolskim a śląskim. Prace są prowadzone w trudnym, górskim terenie i obejmują tory, obiekty inżynierskie, przejazdy kolejowo-drogowe oraz infrastrukturę dla podróży. Modernizowane są m.in. mosty, przepusty i wiadukt, a stacje i przystanki zyskają lepszy standard obsługi pasażerów.

Efektom będzie krótszy czas przejazdu, większy komfort i lepsza dostępność kolei w południowej części kraju. Pociągi mają wrócić na trasę jeszcze w tym roku, co dla mieszkańców i turystów będzie bardzo konkretną zmianą. To przykład inwestycji, która nie tylko poprawia parametry techniczne linii, ale też otwiera region na lepszą ofertę przewozową. Podobnie efekty już we wrześniu osiągniemy na linii Pszczyna – Żory, gdzie modernizacja pozwoli przywrócić sprawne połączenia regionalne i zwiększyć atrakcyjność kolei w codziennych dojazdach do pracy i szkoły.

To właśnie takie projekty pokazują, że nie modernizujemy pojedynczych odcinków. Budujemy sieć, w której kolejne inwestycje wzajemnie się uzupełniają i stopniowo poprawiają funkcjonowanie całego systemu transportowego.

REKLAMA

Wiele inwestycji realizowanych w ramach KPO dotyczy bezpieczeństwa. Jakie efekty udało się osiągnąć w tym obszarze?

Bezpieczeństwo jest jednym z najważniejszych celów wszystkich naszych inwestycji. Jednym z największych komponentów KPO jest modernizacja przejazdów kolejowo-drogowych w całym kraju. Wyposażamy je w nowe roгатki, sygnalizację świetlną, monitoring oraz urządzenia zdalnej diagnostyki. To inwestycje rozsiane po całej Polsce, ale ich wspólny efekt jest bardzo konkretny – mniej miejsc szczególnie niebezpiecznych i wyższy poziom bezpieczeństwa zarówno dla kierowców, jak i pasażerów.

Równolegle poprawiamy stan torów, przebudowujemy obiekty inżynierskie i wdrażamy nowoczesne urządzenia sterowania ruchem kolejowym. To elementy, które nie zawsze są widoczne na pierwszy rzut oka, ale mają ogromne znaczenie dla codziennego funkcjonowania kolei.

Modernizujemy również stacje i przystanki. Powstają nowe przejścia podziemne, windy, pochylnie, lepiej oświetlone perony i czytelniejsza informacja pasażerska. Dzięki temu kolej staje się bardziej dostępna dla wszystkich grup podróżnych, w tym osób starszych, rodziców z dziećmi czy pasażerów o ograniczonych możliwościach poruszania się. Bezpieczeństwo to także większa niezawodność infrastruktury, stabilniejszy rozkład jazdy i większe zaufanie do kolei.

W nazwie KPO pojawia się nie tylko odbudowa, ale również zwiększanie odporności. W jaki sposób inwestycje PLK wzmacniają odporność polskiej sieci kolejowej?

Odporność sieci kolejowej rozumiemy bardzo szeroko. To zdolność kolei do działania w różnych warunkach: przy dużym natężeniu ruchu, podczas awarii, w sytuacjach kryzysowych, przy zmianach potoków pasażerskich i towarowych, a także w obliczu ekstremalnych zjawisk pogodowych. Inwestycje z KPO wzmacniają tę odporność na kilku poziomach.

Po pierwsze, zwiększamy przepustowość i poprawiamy parametry linii. Tam, gdzie infrastruktura jest wąskim gardłem, każda awaria lub opóźnienie może wpływać na większą część sieci. Modernizacja torów, rozjazdów, mostów czy urządzeń sterowania ruchem pozwala prowadzić więcej pociągów i lepiej zarządzać ruchem w sytuacjach zakłóceń.



Zmodernizowana stacja Ostróda

TORY | MOSTY | TUNELE

Myślisz, że to abstrakcja? | to mocny konkret

Nowoczesna i bezpieczna infrastruktura tworzona przez Polskie Linie Kolejowe S.A.

#NASZAKOLEJ



Most kolejowy na Sole w Żywcu

Po drugie, rozwijamy alternatywne ciągi transportowe. Jeśli sieć ma więcej sprawnych połączeń, łatwiej przekierować ruch w razie problemów na jednej trasie. Ma to znaczenie dla przewozów regionalnych, dalekobieżnych i towarowych, szczególnie na trasach prowadzących do portów czy dużych ośrodków gospodarczych.

Po trzecie, inwestujemy w cyfryzację i nowoczesne systemy zarządzania ruchem. Dzięki nim możemy szybciej reagować na zakłócenia, lepiej wykorzystywać przepustowość i zwiększać bezpieczeństwo prowadzenia ruchu. Odporność to również infrastruktura przygotowana na zmieniające się

warunki klimatyczne: modernizowane mosty, przepusty, odwodnienie i podtorze ograniczają ryzyko awarii po intensywnych opadach czy wzburzeniach wód.

Inwestycje z KPO to nie tylko korzyści dla pasażerów. Jak wpływają one na rozwój regionów i gospodarki?

Kolej jest jednym z fundamentów nowoczesnego systemu transportowego, dlatego każda inwestycja infrastrukturalna wywołuje szersze efekty niż tylko poprawa warunków podróży. Nowoczesna linia kolejowa

oznacza lepszy dostęp do pracy, edukacji, usług publicznych i turystyki. Dla regionów to realna szansa na rozwój.

Bardzo ważne są inwestycje wzmacniające ciągi towarowe. Modernizacja „Nadodrzanki” oraz tras prowadzących do portów w Szczecinie i Świnoujściu ma znaczenie nie tylko regionalne, ale również gospodarcze. Dzięki poprawie przepustowości i parametrów linii kolej może sprawniej obsługiwać przewozy towarowe, a polskie porty zyskują lepsze zaplecze transportowe. To ma znaczenie dla eksporterów, operatorów logistycznych i całego łańcucha dostaw.

Istotne są także inwestycje eliminujące tzw. wąskie gardła. W Obornikach Wielkopolskich dobudowa drugiego prześła mostu kolejowego na Warcie zwiększa możliwości prowadzenia ruchu na ważnej trasie w regionie Poznania. Równocześnie realizujemy inwestycje bardzo blisko ludzi. Przykładem jest Warszawa Ursus Północny, gdzie nowoczesna infrastruktura ułatwia codzienne dojazdy mieszkańców rozwijającej się części stolicy.

Jakie znaczenie będą miały inwestycje z KPO w perspektywie kolejnych lat?

Środki z Krajowego Planu Odbudowy pozwoliły przyspieszyć modernizację polskiej kolei i skoncentrować się na projektach, które przynoszą konkretne efekty dla pasażerów, przewoźników i gospodarki. To inwestycje, które już dziś zmieniają sposób funkcjonowania transportu w Polsce, ale ich pełne znaczenie będzie widoczne także w kolejnych latach.

Nowe i zmodernizowane tory, przebudowane stacje i przystanki, bezpieczniejsze przejazdy, sprawniejsze systemy sterowania ruchem czy zelektryfikowane linie kolejowe będą służyć kolejnym pokoleniom pasażerów. Dzięki nim kolej będzie bardziej dostępna, przewidywalna i konkurencyjna wobec innych środków transportu.

Dla Polskich Linii Kolejowych KPO było również ważnym doświadczeniem organizacyjnym. Pokazało, że przy dobrej koordynacji, jasnych priorytetach i współpracy z wykonawcami można realizować inwestycje szybciej i skuteczniej. Dlatego można powiedzieć, że pieniądze z KPO to mocny konkret dla polskiej kolei. To realne zmiany: pociągi wracają na kolejne trasy, poprawia się komfort podróży, rośnie bezpieczeństwo, a sieć kolejowa staje się bardziej odporna i lepiej przygotowana na potrzeby pasażerów, przewoźników oraz całej gospodarki.

PIENIĄDZE Z KPO TO MOCNY KONKRET

Świat

Lewica nie może się bać konfliktów

Żeby nie dopuścić do powrotu faszyzmu, liberałowie i lewica muszą wspólnie stworzyć alternatywę – tak jak zrobili to po II wojnie światowej

Z Davidem

Ostem

rozmawia Emilia Świętochowska

Pomysł na nową książkę „Red Pill Politics” przyszedł panu do głowy podczas oglądania polskiej telewizji...

To był początek 2016 r. Prawo i Sprawiedliwość właśnie przejęło władzę. W Wielkiej Brytanii trwała kampania przed referendum brexitowym, a Donald Trump wyrastał na faworyta republikanów w wyścigu o Białą Dom. Przypadkiem trafiłem w polskiej telewizji na dyskusję, w której jeden z krytyków rządu przekonywał, że polityka partii Jarosława Kaczyńskiego przypomina klasyczny faszyzm. Siedzący obok niego zwolennik PiS wydawał się zmieszany. A po chwili wypalił: „Problem polega na tym, że Hitler okrył faszyzm złą sławą”.

Jak pan zareagował? Byłem wstrząśnięty. Wielu prawicowych populistów, którzy zdobywali wtedy coraz większe poparcie, próbowało rehabilitować dziedzictwo przedwojennego faszyzmu, lecz nie przyznawało tego wprost. W polskiej telewizji po raz pierwszy usłyszałem,

jak ktoś mówi to całkiem otwarcie: faszyzm opierał się na słusznych ideach, ale został tak silnie skojarzony z Hitlerem, że trudno dziś go bronić. Jawnie rasistowski język, który na długo powszechnie napiętnowano, powrócił do polityki. Zdałem sobie sprawę, że polityka współczesnych populistów nie różni się tak bardzo od klasycznego faszyzmu. Nie rozprawiają się siłowo z wrogami, ale nie są przeciwko przemocy jako takiej. Sformułowałem wtedy pojęcie polityki czerwonej pigułki (Red Pill Politics). Jej zasady dzielą zarówno faszyści, jak i prawicowi populiści.

Co to znaczy? W prawicowym internecie wzięcie czerwonej pigułki oznacza odkrycie, że obraz rzeczywistości, który ukazują media i elity, jest przesiąknięty lewicową ideologią. Populiści proponują receptę: przywrócenie tradycyjnych hierarchii i zdrowego rozsądku. Wielu członków klasy pracującej, rozczarowanych neoliberalizmem i jego akceptacją przez niemalą część lewicy, dostrzegło w ich polityce szansę na poprawę swojej pozycji ekonomicznej. Zamiast skierować swój gniew przeciwko elitom biznesowym, kupili



narrację, że źródłem ich problemów są imigranci i mniejszości. To się zaczęło już w latach 90. 20 lat temu pisałem w „Kłęsce «Solidarności»”, że polska lewica skapitulowała przed liberałami, uznając, że nie ma alternatywy dla wolnego rynku. Mieszkańcy małych miast i wsi przeszli więc na stronę prawicy, która dała im nacjonalistyczną odpowiedź.

Nawet jeśli retoryka populistów i faszystów jest podobna, to przecież nie ma dziś terroru, masowej przemocy, dyktatury... Zasadniczo się zgadzam, choć akurat ICE terroryzuje miasta i używa przemocy wobec imigrantów. Faszyzm jest dzisiaj uznawany za zło absolutne. Czasem jednak zapominamy, że przed wojną ten ruch cieszył się ogromnym poparciem. Miliony ludzi były nim oczarowane. Faszyści stosowali represje wobec swoich przeciwników

i brutalnie prześladowali mniejszości, lecz jednocześnie obiecywali rozwiązanie problemów gospodarczych, zakończenie konfliktów, odbudowę dawnej potęgi państwa... Również zachodnie elity wyrażały się o nich z uznaniem. Gdy Mussolini doszedł do władzy, a potem w ciągu kilku lat ustanowił dyktaturę, wielu polityków – m.in. Winston Churchill – chwaliło jego zdecydowaną walkę z komunistami. Nawet Hitler nie od razu stał się światowym pariasem. Był zjadłym antysemitą, ale w kampanii wyborczej tego nie eksponował – większy nacisk kładł na naprawę gospodarki i ograniczenie bezrobocia, przekonując, że nie da się osiągnąć tych celów bez rozbicia lewicy. Dopiero gdy wypowiedział wojnę państwu Zachodu, faszyzm został zdyskredytowany.

Przeciwnicy prawicowych populistów przez długi czas liczyli

Irytuje mnie teza, że to polityka tożsamościowa odpowiada za problemy lewicy. Postulaty pracownicze były dla niej dalej ważne, ale na przeszkodzie stanęła globalizacja



FOT. ANGELINA KATSANIS/GETTY IMAGES

na to, że oskarżenia o faszystowskie praktyki skompromitują te ruchy w oczach wyborców. Tak się jednak nie stało.

Jeśli utożsamiamy faszyzm wyłącznie z masową przemocą i dyktaturą, to prawicowi populiści faktycznie nie mają z nim wiele wspólnego. Mogą się go wypierać, mówiąc: przecież do was nie strzelamy, nie wysyłamy do obozów itd. Podobieństwa są jednak uderzające: gloryfikowanie narodu, demonizowanie opozycji jako zdrajców, podgrzewanie konfliktów tożsamościowych, lekceważenie zasad demokratycznych.

Pisze pan, że faszyzm był pierwszym populistycznym ruchem na prawicy.

Tradycyjnie prawica zawsze występowała przeciwko ludowi. Przez cały XIX w. głównym celem arystokracji było utrzymanie nad nim kontroli i niedopuszczenie go do udziału w polityce. Miała pretensje do francuskich radykałów, że podburzają masy. Druga prawica, burżuazyjna, która wyłoniła się w połowie XIX w., potrzebowała robotników, ale nie chciała im przyznać praw wyborczych, obawiając się, że zagrożą jej pozycji ekonomicznej. Faszyści sprawili, że odwo-

Burmistrz Nowego Jorku Zohran Mamdani na paradzie zwycięstwa po zdobyciu przez New York Knicks mistrzostwa NBA. Nowy Jork, 18 czerwca 2026 r.

ływanie się do ludu przestało być domeną lewicy.

Zaczęli walczyć z socjalistami na ich własnym podwórku? Tak. W latach 20. i 30., kiedy świat zmagał się z wielkim kryzysem, socjaliści stali się w Europie największą siłą na lewicy. Mimo to nie garnęli się do przejęcia władzy, bo nie wierzyli w możliwość naprawy systemu kapitalistycznego. Obawiali się, że jak wejdą do rządu, nie uda im się wprowadzić żadnych znaczących zmian. Większość socjalistów głównego nurtu nie upatrywała też rozwiązania w rewolucji. Wielki kryzys utwierdził ich w przekonaniu, że kapitalizm znalazł się na krawędzi załamania.

Liczyli na to, że sam upadnie? Tak. Nie mieli żadnej recepty na to, jak zaradzić głodowi i bezrobociu wśród robotników. Byli bezradni. Ciągłe mówili: dopóki nie nastanie socjalizm, nic się nie da zrobić. W gruncie rzeczy podeszli do sprawy podobnie jak liberałowie, którzy powtarzali, że trzeba zacisnąć pasa i czekać, aż będzie lepiej. Faszyści to wykorzystali i zaproponowali ludziom własne rozwiązanie.

Jakie?

Obiecali, że jak przejmą władzę, to wykorzystają możliwości państwa, by powściągnąć wielki kapitał, zlikwidować bezrobocie i zapewnić klasie robotniczej wyższe płace. Faszyści odrzucali równość i demokrację, lecz uważali, że silny naród – rozumiany przez nich jako byt mistyczny – nie może istnieć bez klasy pracującej. Liczyli, że jeśli poprawią warunki życia robotników, to masy dobrowolnie porzucą lewicę i przejdą na ich stronę. Zapowiadali zakończenie walki klasowej, choć z zasady nie sprzeciwiali się wyzyskowi kapitalistycznemu. Uważali jedynie, że trzeba od czasu do czasu go ograniczać, żeby zdobyć poparcie mas. Sheri Berman stawia w książce „The Primacy of Politics” tezę, która na pierwszy rzut oka może się wydać prowokacyjna: to nie faszyzm i komunizm są do siebie podobne, jak powtarzano w czasach zimnej wojny, lecz faszyzm i socjaldemokracja.

Jak to?

Oba obozy zgadzały się, że trzeba podporządkować biznes państwu, a robotników i ludzi ubogich włączyć do systemu. Faszyści roztaczali wizję regulowanego kapitalizmu, w którym przemysłowcy i pracownicy pod kierownictwem państwa idą na kompromisy, by wypracować zasady współpracy i sposoby rozwiązywania konfliktów. Chcieli w ten sposób osłabić wpływ lewicy i to się częściowo udało. Z czasem również socjaliści doszli do wniosku, że kapitał można objąć kontrolą bez rewolucji. Tym tropem poszli po wojnie socjaldemokraci. Tak jak faszyści akceptowali mechanizmy rynkowe i własność prywatną, a jednocześnie twierdzili, że interwencja państwa w gospodarkę jest konieczna, by zapewnić porządek społeczny. Warto podkreślić, że w 1932 r. szwedzcy socjaldemokraci sformowali rząd, głosząc ideę „domu ludu” (Folkhemmet) – to termin, który wymyślili szwedzcy faszyści.

Czy odwrót dużej części klasy pracującej od lewicy był nieunikniony?

Nie, ale trzeba podkreślić, że wynikał on z wielu czynników. Trzy dekady po II wojnie światowej były dla robotników przemysłowych najlepszym okresem w historii kapitalizmu. Faszyzm został pokonany. Gospodarka kwitła, państwa inwestowały w usługi publiczne. Przed wieloma osobami otworzyła się możliwość awansu społecznego. Wraz z rosnącą dostępnością studiów więzi zachodniej lewicy z robotnika-

mi zaczęły słabnąć. Od lat 60. pod wpływem walki z rasizmem i kolonializmem zmieniały się też jej priorytety. Lewica nabrała przekonania, że w sferze materialnej główne cele zostały osiągnięte: pracy było pod dostatkiem, robotnicy zyskali poczucie bezpieczeństwa, ich dzieci miały szansę dołączyć do wykształconej elity. Pokolenia wychowane w powojennym dobrobycie kładły nacisk na samorealizację i rozszerzenie zdobyczy postępu na grupy, które dotąd były wykluczone: kobiety, mniejszości rasowe i seksualne.

Robotnicy zeszli na dalszy plan. Tak. Nawet Herbert Marcuse – guru Nowej Lewicy – zarzucał białej klasie robotniczej, że dbając wyłącznie o własne interesy, stała się częścią opresyjnego systemu, który blokuje pełną emancypację uciskanych grup. Poszerzenie bazy wyborczej przez lewicę było słusznym posunięciem. Irytuje mnie teza, że to polityka tożsamościowa odpowiada za problemy lewicy. Postulaty pracownicze były dla niej dalej ważne, ale na przeszkodzie stanęła globalizacja. Po kryzysie naftowym amerykańskie firmy zaczęły przenosić produkcję za granicę, unikając w ten sposób płacenia podatków i wynagrodzeń przez związki zawodowe. Doprowadziło to do upadku przemysłu, stagnacji płac, degradacji małych miast i drastycznego wzrostu nierówności. Populistyczna prawica zaczęła się kreować na obrońcę klasy pracującej, przekonując, że za jej bólczki odpowiadają imigranci i mniejszości. Podobny scenariusz rozegrał się w Europie, tyle że nieco później i nie tak gwałtownie, bo pracownicy cieszyli się tam silniejszą ochroną. Na pewno pamięta pani, jak przed francuskim referendum w sprawie europejskiej konstytucji wrogiem numer jeden stał się polski hydraulik.

W wyborach w 2024 r. Donald Trump zdobył dużo więcej głosów czarnych, Latynosów i obywateli pochodzenia azjatyckiego niż cztery lata wcześniej. Partia Demokratyczna nadal dominuje w tych grupach, ale jej przewaga stopniała. We Francji przybywa muzułmanów głosujących na Zjednoczenie Narodowe. Dlaczego?

Lewica zawsze była jedyną siłą polityczną, która broniła mniejszości przed uciskiem i rasizmem. Ale w Ameryce i prawie każdym kraju przedstawiciele mniejszości zajmują niższą pozycję społeczną i ekonomiczną – gorzej zarabiają, wykonują mniej prestiżowe prace, których nie chcą wykonywać członkowie grupy dominującej. W ostatnich kilkunastu latach lewica nie miała żadnej realnej propozycji, która poprawiłaby ich sytuację. W dużej mierze skupiała się na reprezentacji – np. wspieraniu mniejszościowych kandydatów w ubieganiu się o urzędy publiczne.

To błąd?

Nie. Żyjemy w lepszym i bardziej sprawiedliwym społeczeństwie dzięki temu, że kobiety i mniejszości



mają szanse, o których wcześniejsze pokolenia nie mogły nawet marzyć. To zasługa lewicy. Wielu czarnym Amerykanom czy obywatelom o imigranckich korzeniach kwestie tożsamościowe już jednak nie wystarczają. Ludziom na co dzień doświadczającym dyskryminacji rasistowska retoryka populistów niekoniecznie wydaje się czymś nadzwyczajnym. Wielu myśli: „nie musimy ich lubić, ale jeżeli mówią, że mają dobry plan, to możemy dać im szansę, bo obecna sytuacja nas nie zadowala”. Poza tym pravicowi populiści w zależności od widowni łatwo zmieniają front. Trump potrafił jednego dnia mówić o „inwazji” i „imigranckich kryminalistach”, a drugiego zapewniać, że „kocha Latynosów”. Zresztą sympatia mniejszości do prawicy nie jest nowym zjawiskiem. Wśród ich przedstawicieli zdarzali się nawet sympatycy faszyzmu. Jednym z nich był Ze’ew Żabotyński, przywódca organizacji Bejtar, która stawiała sobie za misję zajęcie i skolonizowanie Palestyny. Żabotyński należał do grona tzw. syjonistów rewizjonistycznych, którzy nienawidzili lewicy i odrzucali ideę pokojowego współistnienia narodów w jednym państwie. Sami siebie nazywali żydowskimi faszystami. Uważali, że Żydzi nigdy nie staną się Polakami i nie ma dla nich miejsca w Europie. Można powiedzieć, że byli lustrzanym odbiciem endecji. W latach 30. Żabotyński nawiązał współpracę z sanacją, licząc na jej wsparcie dla emigracji Żydów. Rewizjoniści odegrali potem ważną rolę w Likudzie. Osobistym sekretarzem Żabotyńskiego był ojciec Binjamina Netanjahu, a jego następcą na czele Bejtaru – pierwszy premier Izraela z ramienia tej partii Menachem Begin.

Czy lewica ma szansę odzyskać utracone głosy klasy pracującej? Tak, ale tylko wtedy, gdy zerwie z neoliberalizmem i będzie promować polityki, które pomogą klasie pracującej, a nie najbogatszym i wielkim korporacjom. Tylko taką strategią może powstrzymać pravicę, która wygrywa, wmawiając ludziom, że wszystkiemu winne są mniejszości. Populizm ma w Polsce negatywne konotacje. Kojarzy się z demagogią, pustymi obietnicami i oszukiwaniem wyborców. Ja rozumiem go jednak inaczej. Odwołuję się do pierwszego ruchu populistycznego w Ameryce działającego pod koniec XIX w. Była to koalicja małych farmerów, robotników i socjalistów, którzy występowali przeciwko rosnącej władzy Wall Street i elicie pieniądza. W tym sensie ktoś taki jak Trump nie jest prawdziwym populistą, bo opiera się na elitach, monopolizuje władzę i buduje oligarchię. Jeśli lewica chce odzyskać wyborców, nie może się bać konfliktów. Musi się stać twardsza i bardziej populistyczna.

Jak Zohran Mamdani?
Tak. Mamdani to dziś najlepszy i najskuteczniejszy polityk lewicy w Stanach Zjednoczonych. Jest autentyczny – konsekwentnie podkreśla, że jest demokratycznym socjalistą. Poprzedni burmistrzowie Nowego

Jorku reprezentowali establishment i bogatych mieszkańców Manhattanu. Mamdani zwraca się do ludzi spoza elit.

Zamożny Manhattan też na niego zagłosował. Akurat najzamożniejsza część Manhattanu – nie. Mamdani skupił swoją kampanię na Brooklynie, Bronksie i Queens. Zdobył duże poparcie wśród liberałów z wyższym wykształceniem, lecz zwyciężył głównie dlatego, że zmobilizował nowojorski lud pracujący: Latynosów, muzułmanów, Hindusów. To często pracownicy handlu, gastronomii, ochrony zdrowia. Wielu z nich nigdy wcześniej nie głosowało na burmistrza, bo żaden z kandydatów nie zabiegał o ich poparcie. Mamdani stawia na pierwszym miejscu sprawy zwykłych ludzi: rozszerza program darmowej opieki nad dziećmi, zamraża czynsze, walczy z właścicielami nieruchomości, którzy zaniedbują swoje budynki. Umie też promować swoją politykę, czego nie potrafił Joe Biden.

Nie wszystkim się to podoba. W Partii Demokratycznej wrze. James Carville, szef zwycięskiej kampanii Billa Clintona, który jeszcze niedawno powtarzał, że lewica musi kłaść większy nacisk na kwestie ekonomiczne, niedawno ogłosił w Fox News, że nie widzi siebie w jednej partii z Mamdanem i innymi socjalistami. Demokraci nie mają za bardzo pomysłu na program. To samo dotyczy lewicy w innych krajach. W erze zglobalizowanej gospodarki trudno reformować kapitalizm. Po II wojnie światowej wielki biznes miał interes w tym, żeby się dogadać z socjaldemokratami. Firmy odnosiły wymierne korzyści z lepiej wykszcolonej, zamożniejszej siły roboczej. Oznaczało to mniej przestojów i strajków. Obecne elity gospodarcze nie widzą powodów, by iść na ustępstwa. Nie potrzebują już rodzinnych pracowników tak bardzo jak kiedyś. Żyjemy w czasach, w których niemal całe bogactwo i władzę trzyma w rękach garstka miliarderów. Polityka nie hamuje ekspansji korporacji. Możliwości pracowników się kurczą. Żeby nie dopuścić do powrotu faszyzmu, liberałowie i lewica muszą wspólnie stworzyć alternatywę – tak jak zrobili to po II wojnie światowej. ©



David

Ost

emerytowany profesor Hobart and William Smith Colleges, politolog. Autor m.in. „Kłeski «Solidarności»” i „Solidarność a polityka antypolityki”. W tym roku nakładem wydawnictwa The New Press ukazała się jego nowa książka „Red Pill Politics: Demystifying Today's Far Right”

Mit ukraińskiego przywileju

Ukraińcy są jedną z najlepiej zintegrowanych grup uchodźczych w Europie. Dlaczego więc kolejne państwa ograniczają im świadczenia przyznane po wybuchu wojny?

Karolina

Wójcicka

– To się skończy niedługo. Będziecie wypie... na swoją Ukrainę – krzyczy 54-letni mieszkaniec Bielska-Białej do dwóch dziewczynek w miejskim autobusie. Wulgarnych wywisk pada dużo więcej. Wiemy o tym, bo jedna z nich nagrywa zdarzenie telefonem, a film błyskawicznie trafia do internetu. Atak na nastoletnie Ukrainki, do którego doszło 11 lipca, wpisuje się w serię podobnych incydentów z ostatnich tygodni. W minioną sobotę na Wyspie Słodowej we Wrocławiu pobito 19-letniego obywatela Ukrainy. Jak podało Radio Wrocław, chwilę przed napaścią chłopak rozmawiał przez telefon w ojczystym języku. Kilka dni później w Łodzi agresor zaatakował Polaka, którego wziął za Ukraińca. Zadał mu dwa ciosy w głowę, powodując obrażenia nosa i szczęki.

Liczba przestępstw z nienawiści rośnie nad Wisłą w skokowym tempie. Wiceminister spraw wewnętrznych i administracji Czesław Mroczek poinformował w niedawnej rozmowie z TVP Info, że w 2024 r. odnotowano 760 takich przypadków, a w 2025 r. już prawie 1,2 tys. Wszystko wskazuje na to, że w 2026 r. padnie kolejny rekord.

Choć skala przemocy wobec Ukraińców jest obecnie bezprecedensowa, sama niechęć do tej grupy nie jest zjawiskiem nowym. – Od 1993 r. CBOS prowadzi cykliczne badania dotyczące stosunku Polaków do innych narodów. Respondenci mogą określić swoje nastawienie jako pozytywne, neutralne lub negatywne. Jedyny moment, kiedy odsetek osób odnoszących się do Ukraińców pozytywnie wyraźnie przewyższał liczbę tych, którzy deklarowali neutralny lub negatywny stosunek, przypadł na początek 2023 r. – mówiła w podcaście DGP „Bliski Świat” Olena Babakova, dziennikarka i badaczka migracji związana z Atlantic Council. Chwilowa życzliwość była związana z wybuchem wojny na pełną skalę w 2022 r. – Widzieliśmy wtedy bezprecedensową solidarność Polaków i ogromne zaangażowa-

nie w pomoc ukraińskim uchodźcom wojennym – przypomina ekspertka. To nie tyle antyukraińskie nastroje są anomalią, ile przychylność i otwartość w pierwszych miesiącach rosyjskiej inwazji.

Liderzy integracji

Wrogość narasta, mimo że Ukraińcy, którzy opuścili ojczyznę, gdy zaczęły na nich spadać rakiety i drony, są jedną z najlepiej zaadaptowanych grup uchodźczych – zarówno w Polsce, jak i w innych państwach Europy. – Pod względem integracji na rynku pracy zdecydowanie wyprzedzają inne grupy uchodźców – powiedziała DGP Susanne Raab, szefowa Międzynarodowego Centrum Rozwoju Polityki Migracyjnej (ICMPD) i była minister ds. kobiet, rodziny, integracji i mediów Austrii, podczas Konferencji Odbudowy Ukrainy. Według niej Ukraińcy dość szybko uczą się języków krajów, w których goszczą, co dodatkowo ułatwia im funkcjonowanie w nowych warunkach.

Polska jest jednym z europejskich liderów w integracji ukraińskich uchodźców z rynkiem pracy. – Tempo, w jakim do niej doszło, to niewątpliwie sukces, zwłaszcza że w tej grupie dominowały kobiety z dziećmi, zmuszone do nagłego opuszczenia kraju – komentuje Monika Wesołowska, ekonomistka z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu i była ekspertka Ministerstwa Finansów zajmująca się problematyką uchodźców z Ukrainy.

Potwierdzają to dane Narodowego Banku Polskiego. Pod koniec 2022 r. 65 proc. Ukraińców przebywających w Polsce deklarowało, że pracuje. W ubiegłym roku odsetek ten wzrósł do 75 proc. Jak podkreśla Wesołowska, nie doprowadziło to do pogorszenia sytuacji rodzimych pracowników. – Polska przez cały ten okres utrzymywała jedną z najniższych stóp bezrobocia w Unii Europejskiej, co świadczy o braku efektu wypychania z rynku krajowych pracowników – mówi. Jej zdaniem nie bez znaczenia jest to, że Ukraińcy często uzupełniają niedobory kadrowe – na koniec 2025 r. 23,4 proc. z nich było zatrudnionych



FOT. DAWID CHALIMONUK/REPORTER

w sektorach transportu, gospodarki magazynowej i budownictwa, czyli w branżach zmagających się z deficytami.

„Uchodźcy mają wszystko za darmo”

Jednak ta narracja nie przebija się ostatnio do debaty publicznej. Coraz mocniej utrwała się przekonanie, że Ukraińcy są uprzywilejowaną grupą, nadużywającą polskiej gościnności. Jak wynika z raportu kolektywu analitycznego Res Futura, dyskusja na ich temat w polskim internecie wyraźnie się nasiliła pod koniec ubiegłego roku. Od tamtego czasu zmienił się dominujący ton. Utrwaliło się przekonanie, że „Polacy muszą płacić, a uchodźcy dostają wszystko za darmo”. Analizowane przez ekspertów komentarze koncentrowały się przede wszystkim na programach pomocowych, dostępie do mieszkań komunalnych, bezpłatnej opieki zdrowotnej i świadczeń socjalnych, a Ukraińców przedstawiano jako grupę, która ma do nich dostęp na preferencyjnych zasadach.

W sieci – szczególnie na TikToku – pojawiło się wiele nagrań podbijających tę narrację. Autor jednego z filmików przekonuje, że ukraińskiej matce z dwójką dzieci przysługują m. in. miesięczne świadczenia w wysokości 4,6 tys. zł i darmowe mieszkanie. Polskie kobiety są rzekomo wykluczone z tych „udogodnień”, co świadczy o „dyskryminacji” Polaków w ich własnym kraju.

Opinia publiczna nie jest jednak jednoznacznie przeciwna dalszemu wspieraniu Ukraińców. Sondaże pokazują wyraźną polaryzację wokół tej sprawy. Z opublikowanego w październiku 2025 r. badania CBOS wynika, że zdaniem połowy Polaków pomoc oferowana przez nasz kraj ukraińskim uchodźcom jest zbyt duża. Niewiele mniej – 46 proc. – ocenia jej skalę jako odpowiednią. Widać przy tym wyraźne nasilenie negatywnych nastrojów – jeszcze w 2023 r. jedynie 26 proc. Polaków uważało, że pomoc dla ukraińskich uchodźców jest zbyt hojna.

Utracone poczucie bezpieczeństwa

Nie jesteśmy wyjątkiem. Podobny klimat panuje w Niemczech, które przyjęły najwięcej ludzi uciekających przed rosyjską inwazją. Według danych Eurostatu za Odrą mieszka obecnie ok. 1,2 mln ukraińskich uchodźców, a w Polsce prawie milion. Łącznie stanowią oni ponad połowę wszystkich osób objętych ochroną czasową w UE. W badaniu przeprowadzonym pod koniec 2025 r. przez niemiecki instytut INSA Public Opinion Research Institute zaledwie 17 proc. respondentów stwierdziło, że wszyscy ukraińscy uchodźcy przebywający w Niemczech powinni otrzymywać świadczenia. Przeciwnego zdania było 66 proc. ankietowanych.

Politycy na Starym Kontynencie coraz częściej reagują na społeczne nastroje, wzmacniając niechęć do Ukrainy i Ukraińców. W opinii Babakovej polskie partie nabrały przekonania, że negatywne nastawienie obywateli „w dużej mierze wynikało z realnej albo wyobrażonej konkurencji o zasoby państwa dobrobytu”. Dodaje, że politycy zdecydowali się podkręcić wątek Ukraińców w debacie publicznej mniej więcej w drugiej połowie 2024 r. Przesunięcie akcentów z polityki zagranicznej na politykę wewnętrzną ostatecznie przypieczętowała debata o 800 plus dla Ukraińców na początku 2025 r.

Niepracujący Ukraińcy stracili dostęp do świadczenia na swoje dzieci oraz prawo do bezpłatnego korzystania z publicznej ochrony zdrowia. Do tej grupy należą przede wszystkim osoby starsze, osoby z niepełnosprawnościami i przewlekłe chore. Na początku lipca Polska przestała też finansować pobyt większości uchodźców w ośrodkach zbiorowego zakwaterowania (OZZ). Jak wylicza Helsińska Fundacja Praw Człowieka (HFPC), mieszkało w nich prawie 12 tys. osób: 4,2 tys. to osoby w wieku emerytalnym, prawie 4,4 tys. – dzieci i młodzież, a co najmniej 1,7 tys. – osoby z niepełnosprawnościami. „OZZ nie są dla nich wyłącznie rozwiązaniem o charakterze

doraźnym. Stały się miejscem, w którym udało im się odbudować poczucie bezpieczeństwa, rozpocząć proces integracji i skorzystać z niezbędnego wsparcia” – czytamy w analizie HFPC.

Presja na powrót

Ograniczenia wprowadzają też Niemcy. W listopadzie 2025 r. rząd Friedricha Merza przyjął projekt nowelizacji przepisów dotyczących świadczeń socjalnych, zmieniający zasady wsparcia dla uchodźców z Ukrainy. Osoby, które przybyły tam po 1 kwietnia 2025 r., otrzymują obecnie 441 euro miesięcznie na osobę – tyle samo, co pozostali azylandzi – zamiast 563 euro zasiłku socjalnego Bürgergeld, który wypłacano im wcześniej na tych samych zasadach co niemieckim obywatelom. Politycy za Odrą argumentują, że ograniczenie świadczeń ma zachęcić niepracujących Ukraińców do znalezienia zatrudnienia. Obecnie pracuje około połowa z nich, podczas gdy wskaźnik aktywności zawodowej dla całych Niemiec wynosi 68 proc.

Dane sugerują jednak, że dostęp do wsparcia socjalnego niekoniecznie opóźnia wejście na rynek pracy. Wręcz przeciwnie – według Instytutu Badań Rynku Pracy (IAB), jednostki badawczej Federalnej Agencji Pracy, Ukraińcy, którzy przyjechali do Niemiec po czerwcu 2022 r., znacznie szybciej znaleźli posadę niż osoby, które dotarły w pierwszych miesiącach inwazji, zanim Berlin objął ich nowym systemem wsparcia, w tym świadczeniem Bürgergeld.

Być może dlatego komisarz Rady Europy ds. praw człowieka Michael O’Flaherty przekonywał w rozmowie z RBC-Ukraina, że restrykcje – wprowadzane nie tylko w Polsce i Niemczech – w praktyce mają wywrzeć presję na uchodźców, by wracali do swojego kraju. – Dostrzegam pewne tendencje. Obserwowałem cięcia w świadczeniach socjalnych, które dla wielu ludzi oznaczają poważne trudności. Widziałem ograniczenia w programach mieszkaniowych. Jeśli ktoś może pozwolić sobie na wynajem mieszkania,

Pasażerowie z Ukrainy na terminalu w Sławkowie. 5 marca 2022 r.

to nie będą one dotkliwe. Ale dla emerytów i osób pozbawionych środków do życia jest to duży problem – podkreślił O’Flaherty.

W tym sensie ukraińscy uchodźcy coraz częściej padają ofiarami mechanizmu, który ujawnił się już w czasie poprzednich kryzysów migracyjnych, m.in. w szczytowym okresie wojny w Syrii w 2015 r. Początkowa fala solidarności wywołana obrazami bombardowanych miast i uciekających rodzin z czasem ustępuje skargom na koszty przyjmowania azylandów oraz pytaniom, czy rządy nie oferują im zbyt szczodrego wsparcia. Ukraińcy byli początkowo traktowani jako „wyjątek” w europejskiej polityce migracyjnej, ale wraz z przedłużającą się wojną stają się elementem szerszej dyskusji o granicach solidarności wobec osób uciekających przed konfliktami.

Ekspert ostrzega, że takie podejście może mieć negatywne konsekwencje również dla państw przyjmujących. Im większe bariery administracyjne, negatywne emocje i presja na wyjazd, tym większe ryzyko, że część Ukraińców faktycznie zdecyduje się opuścić Polskę. – Jesteśmy jednym z najszybciej starzejących się społeczeństw Europy, a malejąca liczba osób w wieku produkcyjnym stanowi coraz większe wyzwanie. Jeżeli wysoka aktywność zawodowa uchodźców się utrzyma, a jednocześnie uda się lepiej wykorzystać ich kwalifikacje poprzez ograniczenie problemu niedopasowania kompetencji do wykonywanej pracy, to migracja z Ukrainy może być jednym z ważnych czynników wzmacniających potencjał gospodarczy i kapitał ludzki Polski – przekonuje Wesołowska. ©



Więcej tekstów tej autorki
Skanuj kod!
DGP.pl



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Wiatr zasiano, burza na horyzoncie

Witold **Sokoła**

Spora część naszej klasy politycznej wciąż rywalizuje w kategorii „kto bardziej dołoży Ukraincom”. To ma swoje uboczne skutki – m.in. taki, że odjeżdżają nam kolejne szanse na bycie graczem w regionalnym środowisku bezpieczeństwa.

Puchar przechodni zagarnął ostatnio Przemysław Czarnek. Złożył wniosek, by Sejm specjalną uchwałą zobowiązał rząd do blokowania procesu akcesji Ukrainy do Unii Europejskiej – a na dokładkę oświadczył, że powinniśmy wymóc na naszych sojusznikach z UE i NATO, by „zaprzestać na ten moment finansowania w jakikolwiek sposób zbrojeń na Ukrainie i odbudowy Ukrainy”. Zaproponował więc w gruncie rzeczy, by spełnić największe marzenie Kremla, a przy tym zapewnić wygodne alibi tym wszystkim siłom w Europie, które marzą o powrocie do status quo sprzed rosyjskiej napaści na Ukrainę i możliwości obwinienia o to Polski.

Kandydata PiS do roli premiera za tę szarżę natychmiast ostro skrytykowali w mediach społecznościowych ludzie z medialnego i eksperckiego zaplecza partii, m.in. Agnieszka Romaszewska, Dawid Wildstein czy Przemysław Żurawski vel Grajewski – wszyscy od lat mocno i szczerze zaangażowani w budowę strategicznej kooperacji Polski z Ukrainą oraz powstrzymywanie moskiewskiej agresji w Europie. Po tej samej stronie opowiedział się tym razem Jarosław Kaczyński, oświadczając, że pomoc dla Ukrainy była i jest sprawą „kluczową z punktu widzenia polskiej racji stanu i naszego bezpieczeństwa”, oraz zapowiadając, że „sprawa wypowiedzi (...) Czarnka zostanie wyjaśniona przez kierownictwo partii”.

Można się niestety obawiać, że to jednak tylko partyjna taktyka. Kaczyński nie może dopuścić, by całkowicie podważono wcześniejszą linię ugrupowania oraz kierowanego przez PiS rządu, ale też nie może nie brać pod uwagę tego, że bardziej radykalne partie podbijają mu tradycyjny elektorat. Przecież sam namaścił Czarnka – najpierw na ministra, a potem na potencjalnego premiera – właśnie dlatego, że ten reprezentował w wielu kwestiach podejście bliskie Konfederacji, czemu wielokrotnie otwarcie dawał świadectwo jeszcze jako wojewoda lubelski. Także dlatego Kaczyński wymuszał na MSZ, kierowanym wówczas przez Jacka Czaputowicza, koncesje na rzecz drobnych grup skrajnie prawicowych – choćby w kwestii grantów na prowadzenie Regionalnych Ośrodków Debaty Międzynarodowej czy torpedowania pewnych projektów związanych z rozbudową polskiego soft power w Ukrainie.

Burza została zasiana już wtedy, dobrych kilka lat temu, a kto nie widzi związku ówczesnych umizgów kierownictwa PiS do środowisk antyukraińskich (i jednocześnie prorosyjskich) z aktualnymi nastrojami, ma albo krótką pamięć, albo skłonność do taktycznej hipokryzji. Na to wszystko nakłada się jeszcze polityka ośrodka prezydenckiego, ewidentnie mającego za zadanie budowę mostów pomiędzy PiS a partiami usytuowanymi bardziej na prawo.

Można więc spokojnie typować, że Czarnkowi ostatecznie nic złego się nie stanie. Zainteresowani wygłosili już kolejne komunikaty, z których wynika, że są „za, a nawet przeciw” oraz wcale nie zamierzają iść teraz na wzajemne zwarcie. Kaczyński nie skorzystał nawet z okazji, by lekko zbalansować wewnętrzny układ sił, czyli dać pewną nadzieję frakcji umiarkowanej i bardziej racjonalnej w polityce zagranicznej. Ogłosił za to (skądinąd absurdalny) „pakt senacki” z Markiem Wochem, czyli niedawnym sojusznikiem Grzegorza Brauna, a także wystosował ostre ultimatum pod adresem Mateusza Morawieckiego i jego zwolenników.

Te gry i zabawy w łonie partii opozycyjnej można by zbyć machnięciem ręki, gdyby zakładnikiem antyukraińskich emocji – częściowo zrozumiałych z historycznego i moralnego punktu widzenia, ale całkowicie dysfunkcyjnych dla szeroko pojętej racji stanu – nie stała się polska dyplomacja. Warto odnotować, że także aktualnie rządząca koalicja nie jest w tej sprawie bez grzechu. Przegapiła bowiem od lat narastające w relacjach z Ukrainą problemy i długo lekceważyła ich negatywny potencjał. Symboliczne było choćby mianowanie szefem naszej placówki dyplomatycznej w Kijowie Piotra Łukasiewicza. Już wtedy przestrzegano, że jego kompetencje i doświadczenia, związane niemal wyłącznie z Bliskim i Środkowym Wschodem, będą mało przydatne akurat w Ukrainie. Do tego doszły chroniczne niedofinansowanie naszych służb specjalnych i błędy w ich zadaniowaniu, a przede wszystkim brak jasnej strategii w polityce wschodniej, którą – co warto przypomnieć – robi się także (a może nawet przede wszystkim) w Waszyngtonie i w Brukseli, ponieważ także w Berlinie, Londynie i Paryżu.

Polska zmarnowała sporo czasu, mając się wizjami bycia pośrednikiem w relacjach Ukrainy z Zachodem i „ambasadorem” Kijowa w Unii i NATO.

Tymczasem nikt na nas nie czekał. Amerykanie i Niemcy, a także Brytyjczycy czy Kanadyjczycy robili swoje, przy okazji dyskretnie wypierając istniejące wpływy Polski nad Dnieprem. Wzbudzenie antypolskich emocji wśród Ukraińców, nad czym usilnie pracowały służby rosyjskie, bywało często łatwiejsze dzięki naszym własnym błędom i zaniedbaniom. I tym dotyczącym polityki historycznej, i – przede wszystkim – teraźniejszości. Po prostu zainwestowaliśmy w swój autorytet i wpływ

w Ukrainie znacznie mniej wysiłków i pieniędzy niż nasi sojusznicy. W zbudowanie zawczasu narzędzi, by być graczem na rynku ukraińskim oraz w regionalnym środowisku bezpieczeństwa – niestety także.

Ostatnio z przytupem włączyli się do konkurencji Francuzi. To zrozumiałe w sytuacji, gdy ich tradycyjne rachuby na posiadanie na wschodzie Europy użytecznego partnera w postaci Rosji wzięły w łeb (i to raczej ostatecznie, z czego nad Sekwaną już zdano sobie sprawę). Francuski przemysł zbrojeniowy też ma swoje potrzeby i możliwości. Na paryskiej defiladzie z okazji święta narodowego byli więc ukraińscy żołnierze, a jednocześnie Kijów kupił francuskie myśliwce Rafale wraz z pakietem usług towarzyszących, zresztą za unijną pożyczkę. Do tego jest kilka innych umów francusko-ukraińskich, na różnych etapach realizacji, niektóre w ramach proklamowanej właśnie, niezwykle ważnej politycznie i biznesowo, europejskiej inicjatywy przeciwbalistycznej.

Nas w niej na razie nie ma, a polski premier mógł tylko zważyć winę na krajowe przedsiębiorstwa, które wciąż „analizują swoje możliwości” i nie zdążyły przedłożyć oferty. Przy okazji potwierdził, że w planowanych na jesień ćwiczeniach wielonarodowych sił „koalicji chętnych” odegramy tylko bierną rolę gospodarza terenu, ale bezpośredniego udziału nasze siły zbrojne w nich nie wezmą. Nie będzie nas raczej także w paru innych nowych inicjatywach przygotowywanych obecnie pomiędzy Kijowem a jego głównymi partnerami z Zachodu.

To wszystko to nie tylko skutek naszych słabości instytucjonalnych czy ekonomicznych (to swoją drogą), lecz przede wszystkim pośredni efekt przedwyborczej paniki. Powszechnego wśród polskich polityków strachu, żeby przypadkiem nie pokazać wzmocnionemu emocjonalnie elektoratowi żadnego gestu, który rywałe przedstawiają jako proukraiński. Bo to nagle stało się niemożliwe, czego przykładem jest także niedawna licytacja na szkodliwe bzdury w sprawie przekazywania Ukraincom pocisków Patriot.

Niestety, mleko się rozlało. Dzisiaj klimat wewnętrzny do naprawy starych błędów lub zaniedbań Kaczyńskiego, Tuska i wielu ich współpracowników jest już znacznie gorszy, niż był jeszcze parę miesięcy temu. Rzecz jasna, katalizatorem zmiany sytuacji była wiadoma decyzja Wołodymyra Zelenskiego w sprawie patronatu „bohaterów UPA” dla jednej z ukraińskich jednostek wojskowych. Ale przecież nie była to decyzja pierwsza, stanowiła kolejny element długiego ciągu podobnych gestów na poziomie władz centralnych i lokalnych. Ta awantura stała się teraz politycznie korzystna dla ukraińskiego prezydenta, bo dzięki naszej nerwowej reakcji spowodowała nacjonalistyczne wzmocnienie wielu Ukraińców i odwróciła ich uwagę od paru kwestii dla Zelenskiego trudniejszych. Być może stanowi też część rachuby na wypchnięcie ukraińskich migrantów z Polski – po to, by wrócili pracować i płacić podatki w domu (to skądinąd wątpliwe, prędzej pojadą dalej na zachód). Ale i my wpisaliśmy się radośnie w tę taktykę, bo wielu polskich polityków uznało, że oto trafia się okazja do zbudowania sobie dogodnej platformy wyborczej. Dużo lepszej niż debata o realnych problemach ochrony zdrowia, finansów publicznych, edukacji, rozwoju regionalnego itp. Nagle odkryta pamięć o ofiarach rzezi wołyńskiej znakomicie maskuje brak kompetencji i koncepcji w tych obszarach. Przypomina to nagły i powszechny niegdyś przypływ zaangażowania w obchody katyńskie, gdy temat okazał się akurat nośny politycznie.

Żeby jednak Polska nie pogrzebała ostatecznie swoich geostrategicznych szans, warto się zdobyć na wysiłek zawrócenia z tej doraźnie kuszącej, ale w dłuższej perspektywie samobójczej drogi. Owszem, zło należy nazywać po imieniu, bez znieczulenia i po wszystkich stronach – to dawne i obecne, a także przyszłe, które może zaistnieć jako efekt chowania głowy w piasek lub nadmiernego radykalizmu. Polityka powinna jednak być oparta na zdolności do współpracy – wewnątrz i na zewnątrz. Żebyśmy w swym zacietrzewieniu, krzycząc o suwerenności, nie wpisywali się jednocześnie dobrowolnie w cudze, niekorzystne dla naszych interesów strategie. Bo prawda jest taka, że na naszych oczach rozdawane są właśnie karty w rozgrywkę, która na długie dekady zdecyduje o architekturze bezpieczeństwa Europy. Na razie, częściowo na własną prośbę, dostajemy co najwyżej błotki.

Na tym powinna polegać implementacja zasady „zło dobrem zwyciężaj” – na dobrej, mądrej i skutecznej polityce, na wypychaniu się w formaty atrakcyjnej współpracy, na aktywnym rozbrajaniu bomb, zanim wybuchną. Nie na próbach bycia bardziej ukraińskim od samych Ukraińców. Nie na próbach leczenia dżumy cholera, czyli ucieczce w ciasny nacjonalizm i pokłóceniu się ze wszystkimi wokół, albo na stawianiu ramię w ramię z nowym bułgarskim premierem, jawnie prorosyjskim Rumem Radewem, który właśnie też ostentacyjnie wypisuje się z koalicji na rzecz wspierania Ukrainy. I nie na biernym oczekiwaniu, że „jakoś to będzie”, byle przetrwać jeszcze trochę w gabinetach i limuzynach. We wszystkich tych przypadkach efekty będą bowiem coraz bardziej fatalne. ©

Autor jest wykładowcą Instytutu Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, przewodniczącym Rady i analitykiem Fundacji Po.Int, publicystą DGP



FOT. MAXIM CHURUSOV/ZUMA PRESS/FORUM

Kolejka przed stacją benzynową
w Sewastopolu na Krymie.
3 lipca 2026 r.

Do ostatniej kropli taniego diesla

Problem pustego baku to tylko część ekonomicznych skutków ukraińskich ataków na rosyjską infrastrukturę naftową

Kacper

Wańczyk

W zeszłym tygodniu Rosja przyznała, że ukraińskie ataki wywołały kryzys paliwowy. Nadzorujący sektor energetyczny Aleksandr Nowak starał się jednak bagatelizować problem, mówiąc, że braki są „częściowe” i „tymczasowe”. Rosyjski wicepremier mówił to dwa dni po potężnym uszkodzeniu przez ukraińskie drony największej w kraju rafinerii w Omsku, która w ubiegłym roku przerobiła 23 mln t ropy.

W kolejce na stacji

Publiczne zauważenie przez Kreml problemu miało służyć rozładowaniu napięcia w społeczeństwie – bo przed stacjami ustawiają się długie kolejki aut, których kierowcy chcą za wszelką cenę kupić (w sieci jest mnóstwo nagrań wściekłych kłótni i bójek) znikającą, droższą oraz racjonowaną benzynę. Zakres ograniczeń zależy od regionu kraju, stacji, a nawet typu paliwa. Sieci wdrażają również inne utrudnienia: benzynę można kupować tylko z wcześniej pobranym kodem QR,

zakazuje się napełniania kanistrów, na stacjach przyjmuje się tylko gotówkę.

Restrykcje wprowadzono w 63 z 89 regionów Federacji Rosyjskiej (liczba uwzględnia również tereny okupowane). Społeczeństwo komentuje pogarszającą się sytuację memami; np. na jednym z nich prowadzący reality show „Bitwa jasnowidzów”, w którym uczestnicy prezentują swoje nadprzyrodzone moce, mówi: „Waszym zadaniem jest przewidzieć, na której stacji będzie benzyna”.

Najtrudniejsza sytuacja jest na okupowanym Krymie i w Sewastopolu. Już pod koniec 2025 r. zaczęło brakować benzyny, w czerwcu ogłoszono stan sytuacji nadzwyczajnej. Jego wprowadzenie było związane nie tylko z brakiem paliw, lecz także z przerwami w dostawach prądu.

Jednak problem pustego baku to tylko część ekonomicznych skutków ukraińskich ataków na rosyjską infrastrukturę naftową.

Mniej benzyny, więcej ropy

Atak na zakład w Omsku doprowadził do jego całkowitego wyłączenia. Zamykane są również rafinerie Moskiewska,

Niżnogiełowska i Saratowska. Jednak nawet przed zawieszeniem produkcji w tych przedsiębiorstwach przerób ropy w Rosji spadał. Według Bloomberga w maju produkcja sektora była niższa o 13 proc. w porównaniu z rokiem ubiegłym. To najniższy poziom od 2009 r., a wytwórstwo samych benzyn według nieoficjalnych danych spadło aż o jedną czwartą.

Rosyjskie ministerstwo energetyki podaje, że w 2025 r. wyprodukowano ok. 40 mln t benzyny i ok. 80 mln t diesla. Ocenia się, że roczny krajowy popyt na pierwszy produkt wynosi 36 mln t, a na drugi – 51 mln t. Więc biorąc pod uwagę ostatnie spadki, widać, że produkcja benzyny jest zdecydowanie utrudniona. Z kolei właściciele aut napędzanych dieslem jeszcze tak mocno nie odczuwają skutków ukraińskich uderzeń – a wśród tej grupy są m.in. firmy transportowe i wojsko. Popyt na paliwa, warto o tym pamiętać, będzie rosnąć bliżej sierpnia i września, co będzie związane ze zbiorami.

Ubożnym skutkiem problemów z rafinacją był wzrost eksportu nieprzetworzonej – a więc taniej – ropy. Surowiec, którego nie można przerobić, jest eksportowany, bo nie ma miejsca w magazynach. W czerwcu sprzedaż ropy za granicę wzrosła o 14 proc. w porównaniu z majem. Jednak nie wpłynęło to na zwiększenie dochodów budżetu – te spadły o 8 proc. Prawdopodobnie wynika to z faktu, że główny klient, Chiny, kupuje surowiec ze sporą zniżką.

Zniszczenia infrastruktury przez ukraińskie drony skutkują także prze-

kierowaniem transportu ropy do miejsc dalszych od europejskiej części Rosji. Według Centrum Badań nad Energią i Czystym Powietrzem w czerwcu przeładunki w Noworosyjsku nad Morzem Czarnym wzrosły o 68 proc. w skali miesiąca. Równocześnie spada wykorzystywanie tradycyjnego bałtyckiego kierunku dostaw.

Inflacja, taryfy, giełda

Bezpośrednio ataki wpływają na finanse firm zajmujących się rafinacją. Ponieważ są one częścią koncernów, które równocześnie angażują się w wydobywanie ropy, spółki matki są na razie w stanie równoważyć ich straty. Choć Kreml nie wypłaca im oczekiwanych odszkodowań za straty, to nie wstrzymał pomocy w postaci subsydiów. Budżetowi pozwolił na to wzrost cen ropy wynikający z blokady irańskiej cieśniny Ormuz, spowodowanej agresją USA na Iran.

Choć detaliczne ceny paliw rosną, to inflacja znacząco nie przyspieszyła i w czerwcu wyniosła 6 proc. Prawdopodobnie wzrost cen nasili się – na początku poprzedniego miesiąca mediana cen głównych typów benzyny, Pb-92 i Pb-95, wzrosła odpowiednio o 20 proc. i 24 proc.

Rosyjskie firmy już przygotowują się na pogorszenie warunków. Od 1 lipca o 10 proc. wzrosły taryfy transportowe. Niecały tydzień później rosyjski odpowiednik Temu, Wildberries, podniósł opłaty dla sprzedawców korzystających z platformy. Przedstawiciele sieci spożywczych, >

wytwórców nabiąu i przedsiębiorstw rolniczych zwracają się do władz z prośbą o udzielenie wsparcia.

Problemy rynku paliwowego są też jedną z głównych przyczyn spadków na rosyjskiej giełdzie. Od początku roku główny indeks MOEX stracił 23 proc., a w samym lipcu 9 proc. Jego wartości zbliżają się do poziomu z 24 lutego 2022 r., dnia rozpoczęcia pełnoskalowej agresji na Ukrainę.

Ostrożna reakcja władz

Na razie Kreml nie wprowadził długofalowych polityk przeciwdziałania problemom w dostawach paliw. Co więcej, bank centralny kontynuuje ograniczoną obniżkę bazowej stopy procentowej. Władze nie zrezygnowały także z subsydiowania krajowych cen paliwa przez funkcjonujący od 2019 r. system poduszki cenowej. Oparty jest on na różnicy między ceną eksportową produktów ropopochodnych a krajową. Jeśli eksport jest bardziej opłacalny niż dostawy na rynek wewnętrzny, państwo – by paliwo pozostało w kraju – wypłaca środki koncernom naftowym. Jeśli różnica jest ujemna, a więc eksport nie przynosi spodziewanych zysków, za to przynosi je sprzedaż w kraju, to koncerny płacą różnicę budżetowi. Od strony podażowej sytuację miało zmienić także rozluźnienie jesienią 2025 r. standardów. Kreml wydał zgodę na sprzedaż benzyny spełniającej normę Euro 3 jako zgodnej z normą Euro 5. Kolejnym krokiem było uruchomienie rezerw strategicznych benzyny w czerwcu 2026 r. Według prezydenta Władimira Putina obecnie wynoszą one 1,7 mln t.

Z punktu widzenia relacji zagranicznych istotne było wprowadzenie ograniczeń na eksport pewnych typów paliw. Najpierw na paliwo lotnicze, a potem – na diesel. Zakaz eksportu oleju napędowego pozwala zatrzymać go w kraju, bo jest potrzebny armii.

Ponadto Kreml postanowił kupować brakujące paliwo za granicą – mówi się o planach importowania 400 tys. t benzyny miesięcznie. Według źródeł Agencji Reutera w lipcu Rosja kupiła w Indiach, drugim po Chinach importerze rosyjskiej ropy, między 60 a 70 tys. t. Kreml planuje również kupić 50 tys. t w Kazachstanie. Trzecim, najbliższym geograficznie, źródłem importu jest „braterska” Białoruś.

Białoruski ślad

Dawno temu pewien białoruski analityk powiedział mi, że Alaksandr Łukaszenka w 1996 r., roku referendum konstytucyjnego konsolidującego jego władzę, sprzedał duszę diabłu. Dowodem na to jest to, że gdy dyktator jest bliski upadku, wydarza się coś, co ratuje go w ostatniej chwili.

Dwie białoruskie rafinerie są jednym z kluczowych źródeł dopływu środków do białoruskiego budżetu. Ważny dla ich funkcjonowania był dopływ relatywnie taniej ropy z Rosji, z której wytwarzano produkty ropopochodne, sprzedawane dalej po cenach rynkowych do krajów UE czy Ukrainy. Jednak sankcje wprowadzone po brutalnym stłumieniu protestów w 2020 r. i wsparciu Rosji w drugiej fazie agresji na Ukrainę w 2022 r. doprowadziły do spadku dochodów z tego tytułu.

Łukaszenko problemy rosyjskiego rynku paliwowego spadły z nieba (lub wypęły z całkiem innego miejsca). Braki paliw oraz wzrost cen benzyny w Rosji mogą pozwolić na zwiększenie dochodowości białoruskich dostaw. W pierwszej połowie czerwca Białoruś wyeksportowała do Rosji ponad 140 tys. ton benzyny, prawie dwa i pół razy więcej niż w maju; wzrosły także dostawy paliwa lotniczego. Według ośrodka analitycznego iSANS białoruskie paliwo sprzedawane jest w Rosji po ok. 1620 dol. za t, gdy ceny na giełdach międzynarodowych wynoszą 1100 dol. za t (sankcje uniemożliwiają Rosji kupno paliwa na światowych giełdach).

Część specjalistów od rosyjskiego sektora energetycznego uważa, że gdyby ten proces się utrzymał, Białoruś mogłaby się stać nieoczekiwanym beneficjentem rosyjskiej „poduszki cenowej”. Część eksportowanych do Rosji benzyn to efekt przerobu dokonanego w białoruskich rafineriach na zlecenie rosyjskich firm. Korzystając więc z sytuacji, białoruskie zakłady mogą podnosić koszty przerobu.

Propaganda na klęsce korzysta

Skoncentrowane ataki ukraińskie na infrastrukturę naftową trwają od wiosny 2024 r. Ale dopiero teraz ich wpływ na gospodarkę stał się widoczny. Zachodnie media wydają się podgrzewać nastroje, cytując np. wycieczki sugerujące, iż zdolności produkcyjne rosyjskich rafinerii stały się o 42 proc. niższe niż na początku roku. Sytuacja Rosjan jest z pewnością trudna, perspektywa presji inflacyjnej – realna, negatywna dynamika na giełdzie – rzeczywista. Jednak nie wiadomo, czy ten ciąg negatywnych zdarzeń przerodzi się w trend. W magazynach wciąż jest wystarczająco dużo etyliny, by zapewnić transport towarów i kontynuowanie agresji.

Katastroficzne obrazy sektora rafineryjnego współgrają natomiast z przenikającymi do zachodniej prasy plotkami. Zgodnie z „bliskimi Putinowi” źródłami rosyjski prezydent ma odczytywać ataki na infrastrukturę naftową jako wyzwanie skłaniające go do dalszego prowadzenia wojny. Sugerują więc te źródła, że Zachód powinien zmusić Ukrainę do ich zaprzestania, by uniknąć eskalacji.

Parafrazując powiedzenie przypisywane Markowi Twainowi, pogłoski o śmierci rosyjskiego sektora naftowego są przesadą. Ale Kijowowi, dzięki systematycznej kampanii ataków, realizowanej przy użyciu nowoczesnych metod, udało się nim wstrząsnąć. Podobnie jak w wypadku innych sankcji, także i tu kluczowe jest utrzymanie presji. Nie do momentu, w którym benzyny zabraknie w baku możnego rosyjskiego bankiera. Do momentu, w którym zabraknie najtańszego diesla do czołgu. ©



Kacper

Wańczyk

ekspert Akademickiego Centrum Analiz Strategicznych, publikował m.in. w „Nowej Europie Wschodniej”, w latach 2007-2020 pracownik dyplomacji

Wilki czują zmianę

Rosyjski ultranacjonalista i bloger Maksim Kałasznikow, opisując obecną sytuację kraju, użył słowa „Cuszima”. Trudno o ostrzejszą i więcej mówiącą metaforę

Piotr

Skwieciński

Pod Cuszimą w 1905 r. zagładzie uległa praktycznie cała rosyjska flota przedzierająca się z Bałtyku na teatr wojny z Japonią. Od tego momentu stało się jasne, że kampania jest przegrana i trzeba ją zakończyć gorzkim i niekorzystnym pokojem. Kiedy Rosjanin słyszy słowo „Cuszima”, myśli „klęska”. I to taka, której nie da się nazwać inaczej.

Dla Kałasznikowa „Cuszimą” jest obecna powietrzna ofensywa Ukraińców, uderzająca w rosyjski przemysł petrochemiczny. „Ukraina, która w kwietniu 2014 r. nie potrafiła rzucić do walki więcej niż 17 tys. żołnierzy, teraz rozbiła cały rosyjski kompleks energetyczno-paliwowy. Co to jest, jeśli nie poniżająca klęska?” – pyta.

Znawca Rosji, obserwujący ją z perspektywy Azji singapurski polityk, biznesmen i publicysta Lim Tean, widzi to ostrzej. „Cuszima przekonała naród, że samowładztwo nie jest w stanie wypełnić jedynej funkcji, dla której istnieje: zwyciężać – napisał. – Poniżenie klęską zadaną przez Japończyków – naród, do którego carski dwór odnosił się z rasową pogardą – zdruzgotało mistykę i resztki aury niezwyciężoności otaczające Romanowów. To analogia, którą wybrał Kałasznikow. Wybrał świadomie, wie dokładnie, co to znaczy. Stronictwo wojny przyznaje dziś, że jest ona przegrana. Frakcja, która domagała się pełnej mobilizacji i aneksji Kijowa, dyskutuje obecnie o tym, jak zamrozić linię frontu i zarządzać skutkami porażki. Zasada legitymizacji władzy jest nieubłagana: reżimy nie upadają wtedy, gdy potępiają je ich wrogowie. Upadają wtedy, gdy przestają w nie wierzyć ich własni wyznawcy”. „Skończył się przypływ, zaczął się odpływ. Nawet wilki wyczuwają zmianę” – konkluduje Lim Tean.

Potok wysechł

Te wilki obecnie zdają się wyczekać z każdego krzaka. Oto prezydent USA Donald Trump informuje, że godzi się na produkowanie przez Ukrainę rakiet Patriot. Niemal równocześnie Francja i inne kraje Zachodu wydają Kijowowi licencje na wytwarzanie innych systemów broni, tak uderzeniowych, jak i przeciwlotniczych. Oczywiście, to wstęp, a kiedy

rozpocznie się produkcja, trudno powiedzieć. Niemal na pewno nie przed najbliższą zimą, która może być dla Ukrainy krytyczna. Ale wyraźnie po stronie proukraińskiej czuje się ducha optymizmu.

Oto, według agencji Bloomberg, w czerwcu produkcja rosyjskich rafinerii spadła do poziomu z 2005 r. Również wydobycie ropy naftowej zmniejszyło się znacząco (choć nie w tym stopniu, co produkcja rafinerii). O panującym w kraju kryzysie paliwowym i niemal całkowitym odcięciu okupowanego Krymu tylko wzmiankuję, bo są to rzeczy znane. Stopień demonstrowanej przez prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskigo pewności siebie jest ogromny.

Bardzo widoczne są też inne oznaki kryzysu w rosyjskim wysiłku wojennym. W kilku obwodach (m.in. w Penzie) poszukiwanie ochotników na front przyjęło formy, których dotąd w Rosji nie widzieliśmy; np. zmuszanie do podpisywania kontraktów, by uniknąć więzienia, są nie tylko osoby schwytane na przestępstwach związanych z przemocą czy handlu narkotykami, lecz także przestępcy pomniejszych kategorii, np. alimenciariusze. W rejonach będących dotąd prawdziwymi zagłębiami rekrutacyjnymi, jak np. w Buriacji, władze zaczęły zmuszać przedsiębiorców, aby ci skłaniali pracowników do zgłaszania się do armii. Duże fabryki mają też nowy obowiązek – zapewniania obsadzenia oddziałów obrony przeciwlotniczej, broniących ich zakładów przed ukraińskimi dronami.

Odnutowuje się zwiększony nacisk na pielęgniarki, aby podpisywały kontrakty z armią. Przy czym perswazja przyjmuje czasem formy kuriozalne – i tak w okręgu irkuckim zachęca się je perspektywą znalezienia w wojsku męża.

Siedzący w łagrze od kilku lat antyputinowski nacjonalista Igor Girkin vel Strielkow donosi, że potok osadzonych zgłaszających się na front wysechł. Wszystkiego tego, w takiej skali, nie było przez pierwsze cztery lata „specjalnej operacji wojskowej”.

Prorocy końca świata

Jednocześnie mnożą się przejawy rozmaicie artykułowanej krytyki wobec Kremla i wojny – albo jako niesłusznej całkowicie, albo jako źle prowadzonej.

Przykładem na tę pierwszą może być Danił Tulenkov, pisarz, który zgło-

sił się na ochotnika na front z zakładu karnego (siedział za drobną sprawę korupcyjną), zdołał odsłużyć swoje i wyjść do cywila, zanim władze wprowadziły przepis, w myśl którego ten, kto raz trafi na front jako najemnik, musi służyć do śmierci albo do zawarcia pokoju. A dziś prowadzi kampanię antywojenną (jak podkreśla: nie proukraińską). Demaskuje wojenne zbrodnie (np. nagłośnił postać swojego dawnego dowódcy o pseudonimie Leks, który potrafił dopuszczać się zbrodni seksualnych na cywilnych Ukraińcach na oczach ich dzieci, po czym został aresztowany, ale za nielegalny handel bronią). Zwolenników wojny nazywa „trupożercami”. I pisze o nich, iż „wmówili sobie, że mają monopol na sympatię wobec armii”.

Ale, pisze, „nikt wam, upiory, nie zamierza oddać ani armii, ani rodzin i bliskich ludzi wciągniętych w tę rzeź. Ci ludzie mają inne idee niż wasz obłąkany, krwawy obłąd, za który kraj płaci potokami krwi i nadchodzącą nędzą. Wasza armia to fanatycy, sadyści, ludożercy i szaleńcy, których miejsce jest w szpitalu psychiatrycznym albo na łańcuchu, oraz cała ta swolocz, która przez osiem lat znosiła chrust i kanistry z benzyną do ogniska płonącego na terytorium sąsiedniego państwa. Moja armia to lojalni zmobilizowani, zagubieni w biedzie i beznadziei mężczyźni z osiedli typu miejskiego i z obrzeży metropolii, a szerzej – wszyscy ci, których zdradziła Ojczyzna, choć oni sami pozostali wobec niej wierni”.

Przykładem drugiego typu krytyki jest Aleksandr Łunin (skądinąd rosyjski nazista), uczestnik wojny w Ukrainie i wcześniejszych konfliktów, który pod koniec czerwca opublikował bijące rekordy popularności wideo. Żądał w nim osobistego spotkania z Putinem, by przekazać mu „całą prawdę” o sytuacji w armii (kładł nacisk na przesładowanie żołnierzy przez dowódców i zmuszanie ich do opłacania się przełożonym oraz wydawanie im „samobójczych rozkazów”). Uprzedzał, że jeśli Putin go nie przyjmie, to niewymienieni z nazwiska wyżsi oficerowie mogą, by ratować kraj i armię, wywołać bunt. Do czego oczywiście nie doszło. Sam Łunin został na moment zamknięty, a po wypuszczeniu skasował nagranie i wyjaśnił, że zamieścił je, gdyż... był ofiarą kontuzji.

Wystąpienie Łunina było skrajne pod względem radykalizmu diagnoz, sformułowań i żądań, ale co do kierunku – nie było nietypowe. Wrzucanych do sieci filmików wideo, w których rosyjscy żołnierze skarżą się na warunki i formułują daleko idące oskarżenia wobec dowódców czy nawet systemu (choć raczej nie kwestionując słuszności wojny z Ukrainą), było w ciągu ostatnich miesięcy więcej. Podobnie jak rozmaitego rodzaju wystąpienia innych rozczarowanych dawnych putinistów czy przynajmniej różnego ideowo autoramentu zwolenników wojny.

Mark Galeotti, wybitny historyk Rosji, konkluduje w sposób zaskakujący: „Nasuwa mi się pewne skojarzenie – proszę o wyrozumiałość, bo może to być zbyt daleko idąca analogia. Mam na myśli coś w rodzaju hysterii końca czasów. Nie chodzi przy tym o konkretne słowa, które akurat pojawiają się w jakimś

wiralowym wpisie. Istotne jest raczej to, co można określić jako coraz większe zagęszczenie takich głosów”. Galeotti porównuje autorów wszystkich tych mnożących się ostatnio w Rosji głosów do znanych z okresów kryzysu religijności w średniowieczu „proroków końca świata, katastrofistów, przywódców sekt i wicherzycieli”. „Każdy z nich z osobna jest właściwie bez znaczenia – uważa Brytyjczyk. – Łącznie mogą być symbolem narastającego w Rosji przekonania – obecnego w bardzo różnych środowiskach, od elit władzy po zwykłych żołnierzy na froncie – że sprawy nie idą dobrze i że coś w końcu musi się zmienić. Czy ludzie mają jasną wizję tego, czego chcą? Myślę, że większość po prostu chce zakończenia wojny. Natomiast na czym miałyby ono polegać i jak miałyby zostać osiągnięte, to właśnie pozostaje przedmiotem sporu. Tak czy inaczej – mam poczucie, że zbliżamy się do finału gry”.

Cztery warianty, bez brawury

I rzeczywiście, jakiś rodzaj zmiany wydaje się wisieć w powietrzu. Ostatni brytyjski „The Economist” przyniósł materiał niezwyklej: opublikował artykuł zajmującego 7. miejsce na liście najbogatszych Rosjan Andrieja Mielniczenki. Artykułowi towarzyszy tekst moskiewskiego korespondenta tygodnika Arkadija Ostrowskiego, tłumaczący dlaczego jest on taki ważny. To materiał okładkowy – zdjęcie oligarchy znajduje się na pierwszej stronie, z tytułem „Człowiek, który może zmienić Rosję”. Ostrowski, od lat 90. związany zawodowo z Anglią, potomek elitarnej radzieckiej rodziny (jego dziadek był autorem lansowanego w latach 60. na światowy hymn ruchu obrońców pokoju utworu „Niech zawsze będzie słońce”), na rozmowy z Mielniczenką poświęcił, jak sam twierdzi, ponad 60 godzin.

Ranga nadana materiałowi zadziwia zwłaszcza wobec jego treściowej miałości, której nie potrafi zniwelować wstęp Ostrowskiego. Mielniczenko, objęty zachodnimi sankcjami magnat produkcji nawozów sztucznych, nie mówi w zasadzie niczego kontrowersyjnego z punktu widzenia Kremla.

Przedstawia bowiem cztery, jego zdaniem dominujące na Zachodzie, scenariusze rozwoju sytuacji w Rosji po zakończeniu wojny. Wariant Rosji zdominowanej przez Zachód i przepełnionej rewanżyzmem, jak weimarskie Niemcy po I wojnie światowej. Wariant Rosji w pełni podporządkowanej Chinom – czego jednak zdaniem autora nie chciałby Pekin, który, zamiast jak dotąd czerpać jedynie korzyści z nierównoprawnej wymiany handlowej, musiałby zajmować się rosyjską sytuacją wewnętrzną i borykać się ze światowym zaniepokojeniem aż takim wzrostem jego imperialnej pozycji. Wersję Rosji „sfragmentaryzowanej”, podzielonej między skonfliktowane ze sobą ośrodki władzy, co groziłoby użyciem w ich starciach broni jądrowej. I wariant obłożonego „państwa twierdzy”, dla którego wojna stałaby się stałym sposobem eg-

zystencji, krajem zamkniętym i permanentnie zmobilizowanym.

Wszystkie te warianty są, według Mielniczenki i Ostrowskiego, niekorzystne dla Zachodu. A co w takim razie byłoby ich zdaniem lepsze? Z opublikowanego materiału wynika, że byłaby to Rosja „suwerenna”, której suwerenność uznałby Zachód. A czym ta „suwerenna Rosja” przyszłości miałaby różnić się od putinowskiej? Materiał jest, powtórzę, bardzo niejasny również i w tym punkcie. W każdym razie nie jest w nim wyartykułowana różnica fundamentalna. Oprócz jednej, też niewypowiedzianej jasno, tylko sugerowanej. W nowej Rosji ludzie pokroju Mielniczenki – oligarchowie – mieliby być słuchani. Mieliby mieć jakiś udział we władzy. A to oznaczałoby, że kiedyś „Rosja stanie się inną”. Jaką? Tu Mielniczenko milczy, a Ostrowski sugeruje, że kiedyś, może już nie za życia obecnego średniego pokolenia – w jakiejś formie zdemokratyzowaną.

PR-owskie zagranie Kremla

Materiał „The Economist” zasługuje na uwagę z kilku względów. Po pierwsze dlatego, że wśród wizji, które wyszły spod pióra uzależnionego od Kremla autora, brak tej o Rosji zwycięskiej. Takiej, która zrealizowała swoje cele w Ukrainie i rozmawia z Zachodem z pozycji siły. Po drugie dlatego, że – jak napisałem wyżej – zarazem nie ma w nim niczego dla Kremla prowokującego. Co świadczy o tym, że publikacja nie jest ze strony Mielniczenki aktem brawury czy szaleństwa.

Czym zatem jest, biorąc pod uwagę to, że rok temu ów oligarcha, według własnego świadectwa, spotkał się z Putinem i wyznał mu, że błędem rosyjskiej elity biznesowej było niegdyś to, że nie uznawała się za część państwa, ale już dostrzegła tę swoją omyłkę (przy czym podziękował Władimirowi Władimirowiczowi za to, że „pomógł mu przejrzeć na oczy”)? Mielniczenko, być może, szczerze uważa się za emanację jakichś nowych sił, które obecną władzę mogłyby może nie zastąpić, ale ku pożytkowi Rosji uzupełnić. Niezależnie jednak od tego głównym elementem sprawy wydaje się to, że oficjalna Moskwa wyraźnie chce, aby na Zachodzie powstało wrażenie, iż takie siły w Rosji istnieją. Że, innymi słowy, możliwy jest wariant, w którym Federacja Rosyjska – podkreślę: rządzona dalej przez Putina – staje się partnerem może z punktu widzenia Zachodu nie optymalnym, ale obliczalnym. Takim, z którym można się dogadywać jak przytomny człowiek z innym przytomnym człowiekiem. Dodatkowo – partnerem przypominającym zachodnim elitom czasu Rosji oligarchicznej, czyli tej z ich punktu widzenia najlepszej, z którą można było robić wielkie interesy i marzyć o jeszcze większych. Te czasy, sugerują Mielniczenko z Ostrowskim, mogą wrócić.

Trzeba tylko uznać „suwerenność” Rosji i jej bliżej niesprecyzowane interesy. I wprowadzić Moskwę do procesu tworzenia nowej „architektury międzynarodowego bezpieczeństwa”. Jego elementem miałyby być porozumienie

w sprawie Ukrainy. Której suwerenność wprowadzić nie ulega wątpliwości, ale zarazem której „bezpieczeństwo, zbudowane na permanentnym odrzucaniu suwerennej podmiotowości Rosji, jest niestabilne”.

Czym jest „suwerenna podmiotowość Rosji” i w czym miałyby się przejawiać jej „nieodrzućanie”? Znow: nie jest to sprecyzowane. Oprócz tego, że według Mielniczenki obecnie ci, którzy na Zachodzie dyskutują o przyszłości, chcą Moskwę tej „suwerennej podmiotowości” pozbawić. Co oznaczałoby wtrącenie Rosji w rewanżyzm, a wtedy byłaby sąsiadem niebezpiecznym. Upowszechnienie na Zachodzie takiej opinii byłoby w oczywisty sposób korzystne dla Rosji, bowiem osłabiałoby jego determinację we wspieraniu Ukrainy.

Przy czym Zachód to oczywiście znacznie więcej niż jeden, nawet najbardziej szanowany tygodnik, ale ogromne znaczenie, jakie redakcja „The Economist” przywiązała do tej publikacji, świadczy o tym, że takie nadzieje Kremla mogą się wydać nie do końca nierealne. „Myślę, że to, co widzimy, to wejście na scenę pewnej siły. Pytanie będzie polegało na tym, czy Rosja potrafi przekształcić się w inny twór, z autentycznym parlamentem i rzeczywistym uczestnictwem obywateli w polityce” – entuzjazmuje się na jego łamach Arkadij Ostrowski.

Jeśli manifest Mielniczenki uznać – a chyba nie ma innej możliwości – za PR-owskie zagranie Kremla, to reakcja „The Economist”, jak się wydaje, spełniła oczekiwania Moskwy. A jeśli tak, to zapewne możemy w najbliższym czasie oczekiwać więcej podobnych manifestacji „pewnej siły”.

Do Cuszimy jeszcze daleko

Które będą akompaniować kumulacji starcia sił fizycznych. Z jednej strony nic bowiem nie wskazuje na to, aby ukraińska kampania dronowego wyniszczania rosyjskiego potencjału petrochemicznego miała ulec zahamowaniu. Z drugiej strony, według monitorującej wojnę grupy DeepState Rosjanie zdołali przełamać kryzys w swojej ofensywnej taktyce. Złaszcza w obszarach zurbanizowanych, gdzie z racji większych możliwości skrytego przemieszczania się taktyka przenikania małych grup szturmowo-dywersyjnych okazuje się skuteczna. Co oznacza, że ważna strategicznie Konstantynówka, jeden z ważniejszych ośrodków ukraińskiego „pasa twierdzy” w Donbasie (przy okazji – miasto, w którym niegdyś wyprodukowano rubinowe szklane gwiazdy, dziś wieńczące wieże Kremla) zapewne padnie.

A więc, choć wilki czują zmianę, to do nowej Cuszimy jest wciąż daleko. ©©



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Piotr

Skwieciński

Publicysta. W latach 2019–2022 był dyrektorem Instytutu Polskiego w Moskwie

Praktyka wielkiej fuzji

Jedna rodzina może niebawem zgromadzić w swoich rękach dwie wiodące wytwórnie filmowe, ok. 30 kanałów kablowych i dwa wielkie serwisy streamingowe. Prawo antymonopolowe przegrywa z przyjaźnią z Donaldem Trumpem

Emilia

Świętochowska

W Instytucie Pokoju im. Donalda J. Trumpa w Waszyngtonie odbyło się pod koniec kwietnia kameralne przyjęcie na cześć prezydenta, na które ściągnęły czołowe twarze telewizji CBS. Przy jednym stole z Trumpem zasiadła nowa szefowa redakcji informacyjnej Bari Weiss. Na sali byli popularna prezenterka Norah O'Donnell i dziennikarze relacjonujący wydarzenia w Białym Domu. Gość honorowy zjawił się w silnej obstawie. Z medialną śmietanką bawili się m.in. sekretarz stanu Marco Rubio, szef Pentagonu Pete Hegseth, pełniący funkcję prokuratora generalnego Todd Blanche i jeden z najbardziej zaufanych doradców prezydenta Stephen Miller.

Impreza odbyła się pod hasłem „250 lat pierwszej poprawki do konstytucji”, choć wolność słowa nie należała tego wieczoru do głównych tematów rozmów. Prezydent w swoim przemówieniu nawet o niej nie wspomniął. Zresztą rocznica i tak była naciągana – pierwsza poprawka została przyjęta 15 grudnia 1791 r., czyli niecałe 235 lat temu. Wszyscy wiedzieli jednak, że cały ten sztafaż jest tylko pretekstem do zabiegania o względy władzy.

Organizatorem wydarzenia był David Ellison, prezes Paramount Skydance, koncernu będącego właścicielem CBS. Kiedy prezydent przyjmował gołdy w instytucie, który ochrzcił własnym imieniem, w wydziale antymonopolowym Departamentu Sprawiedliwości ważyły się losy największej transakcji w historii Hollywood: opiewającej na 111 mld dol. umowy zakupu Warner Bros. Discovery przez Paramount Skydance. W czerwcu, dwa miesiące po bankiecie, prokuratura dała zielone światło dla połączenia. Najważniejszą przeszkodą regulacyjną została usunięta.

W praktyce na drodze do przypieczętowania korporacyjnego mariażu mogą stanąć już tylko sądy federalne. W poniedziałek koalicja 12 stanowych prokuratorów generalnych złożyła pozew, w którym domaga się zablokowania przejęcia, ostrzegając, że rachunek za scalenie gigantów zapłacą widzowie, kina i stacje telewizyjne. – Ta fuzja zdusi konkuren-

cję, wywinduje ceny, obniży jakość oferty oraz ograniczy liczbę filmów i programów produkowanych każdego roku – mówił przewodzący batalii prokurator generalny Kalifornii Rob Bonta.

Jeśli transakcja dojdzie do skutku, to na rynku medialno-popkulturowym wyrośnie globalne imperium obejmujące telewizję informacyjną, kanały rozrywkowe, studia filmowe, streaming, transmisje sportowe i biznes gamingowy. Będzie ono mieć wpływ na to, jak miliony widzów postrzegają walkę partyjną, które serie staną się globalnymi fenomenami i jakie produkcje wezmą udział w wyścigu o Oscary. Architektem przedsięwzięcia jest 43-letni David, ale pozyskanie kapitału i przychylności administracji to zasługa jego ojca – Larry'ego Ellisona, multimiliardera i założyciela giganta informatycznego Oracle. Zgromadzenie tylu cennych marek pod jednym szyldem nie byłoby możliwe, gdyby nie zażyłe relacje łączące weterana Doliny Krzemowej z gospodarzem Białego Domu. Tajemnica politycznych wpływów Ellisona seniora tkwi oczywiście w jego pieniądzu.

Naiwniak z kasą

W młodości David Ellison nie widział siebie w świecie biznesu, a już z pewnością nie myślał o dołączeniu do rodzinnej firmy. Wolał kupić sobie za pieniądze ojca wstęp do Hollywood, aby spełnić marzenie o karierze aktora. W Los Angeles mógł uchodzić za idealne uosobienie „dumb money” – tym mianem branża filmowa określa naiwnych, nieopierzonych potomków wielkich fortun, którzy przepalają miliony na projekty pachnące spektakularnym fiaskiem, po czym złamani brutalnymi lekcjami z Fabryki Snów wracają pod łaskawą skrzydła rodziców. Larry nie był zachwycony, gdy w 2006 r. jego syn rzucił studia, żeby zagrać u boku Jamesa Franco w filmie „Flyboys” o pilotach myśliwców z czasów I wojny światowej, ale i tak pokrył jedną trzecią kosztów przedsięwzięcia. Obraz okazał się klapą: przy budżecie 60 mln dol. zarobił w kinach zaledwie 13 mln dol. Gdy kolejny napisany z przyjacielem scenariusz nie wypalił, młodszy Ellison po-

stanowił zrezygnować z aktorstwa i spróbować sił w roli producenta filmowego. Jako 28-latek założył spółkę Skydance, zdobywając dzięki ojcu 350 mln dol. kapitału na start. Był zdeterminowany, by pokazać sceptycznie nastawionemu Hollywood, że nie jest ultrauprzywilejowanym dzieciakiem, który dla kaprysu bawi się w kino. „Proszę tylko, by ludzie podeszli do mnie z otwartym umysłem i dali mi szansę. Ta firma nigdy nie będzie jedynie książeczką czekową” – powiedział w 2011 r. dziennikowi „Los Angeles Times”.

Krótko po nawiązaniu współpracy ze studiem Paramount Pictures David zainwestował w swój pierwszy projekt – film braci Coen „Prawdziwe męstwo”, który nie tylko odniósł sukces kasowy, lecz także zgarnął 10 nominacji do Oscara. Kino autorskie nie jest jednak jego żywiołem. Kolejne przedsięwzięcia zdradzają słabość do przeładowanych żelastwem krzykliwych widowisk, w których herosi ratują świat przed inwazją cyborgów, drapieżnymi robotami albo rosyjskimi terrorystami. Wśród nich są takie tytuły jak „Mission: Impossible – Ghost Protocol”, „Terminator: Genisys”, „Transformers: Przebudzenie bestii” i „Top Gun: Maverick”.

Poza żyrowaniem filmowej pasji syna Larry Ellison nie przejawiał zainteresowania mediami. Mógłby dziś spokojnie odcinać kupony od boomu na sztuczną inteligencję, który przywrócił Oracle do technologicznej ekstraklasy. Jeszcze 10 lat temu analitycy giełdowi uważali tę firmę za ikonę starego świata IT, która przepała wyścig o rynek chmury ob-

liczeniowej. Kiedy Amazon i Microsoft umacniały przewagę w tym sektorze, spółka Ellisona seniora nadal czerpała gros zysków z oprogramowania do zarządzania bazami danych dla korporacji. Sytuacja zmieniła się wraz z gwałtownym wzrostem zapotrzebowania na moc obliczeniową do trenowania modeli AI. Oracle wykorzystało swoją sieć centrów danych, podpisując wielomiliardowe kontrakty z OpenAI i hiperskalarami, czyli największymi dostawcami usług chmurowych. Notowania firmy poszybowały w górę, a 81-letni Ellison na chwilę wyprzedził Elona Muska w rankingach najbogatszych.

Zabawy „Top Gun”

Nie uchodził za komputerowego czarodzieja jak Bill Gates ani za genialnego wizjonera pokroju Steve'a Jobsa. Miał za to talent do sprzedaży, którą traktował jak starcie ze śmiertelnym wrogiem. Podobno lubił powtarzać słowa przypisywane Czyngis-chanowi: „Nie wystarczy, że zwyciężymy, jeszcze wszyscy inni muszą przegrać”. Przez lata uchodził za jednego z najbarwniejszych ekscentryków Doliny Krzemowej, balansując między wizerunkiem cwane go gracza a wierne go etosowi samuraja i charyzmatycznego playboya z upodobaniem do wojskowych zabawek rodem z „Top Gun”. Jeśli nie grał w koszykówkę na swoim jachcie, to walczył ze sztormem na regatach żeglarskich w Australii albo wsiadał za sterami odrzutowca SIAI-Marchetti S.211, aby toczyć z Davidem pozorowane poje-





Larry i David Ellisonowie
na turnieju tenisowym
w Indian Wells.
12 października 2021 r.

dynki nad Pacyfikiem. Akrobacje lotnicze to pierwsze hobby, dzięki któremu zbliżył się do syna (rozwiódł się z matką chłopaka, gdy ten miał trzy lata, i trudno go uznać za wzór zaangażowanego ojca). Na 13. urodziny sprawił mu samolot Extra 300, jeden z najpopularniejszych modeli do wyczynów w powietrzu. Mike Wilson, autor biografii Ellisona seniora, opisał go jako „jednoosobowy park rozrywki – Larryland”. Książka była zatytułowana: „The Difference Between God and Larry Ellison: God Doesn't Think He's Larry Ellison” („Różnica między Bogiem a Larrym Ellisonem: Bóg nie uważa, że jest Larrym Ellisonem”).

Jego apetyt na nieruchomości osiąga niebotyczne rozmiary (to akurat typowe dla superbogaczy). Niedaleko Palo Alto zbudował inspirowaną pałacami japońskich cesarzy posiadłość ze sztucznym jeziorem, ogrodami i pawilonami. Oprócz tego dorobił się m.in. rezydencji z polem golfowym w Palm Springs, kilkunastu działek przy plaży w Malibu, 13-pokojowej willi w Lake Tahoe i apartamentu w San Francisco. W 2012 r. kupił Lāna'i, szóstą pod względem wielkości wyspę na Hawajach, z myślą o stworzeniu tam „laboratorium zrównoważonego stylu życia”. Zapowiadał, że odsoli wodę morską, wprowadzi ekologiczne uprawy, zainstaluje wszędzie panele fotowoltaiczne, a nawet pomoże miejscowym wymienić stare samochody na elektryki. Zamiast przynieść zieloną rewolucję, jego rządy napędziły jednak przemianę senniejszej oazy w ultraluksusowy kurort dla posiadaczy odrzutowców. Naszpikowane technologiami szklarnie, które postawił

w środku dziczy, okazały się nieprzystosowane do wietrznego i wilgotnego klimatu Lāna'i. Silne podmuchy wielokrotnie zrywały dachy i uszkadzały kolektory słoneczne, a z powodu błędu na etapie projektowania rośliny trzeba było spryskiwać pestycydami. Nieudany eksperyment z ekoturystyką kosztował Ellisona prawie 0,5 mld dol. – dużo więcej niż sama wyspa. Mimo to chętnie oprowadza po farmie swoich wpływowych gości i częstuje ich niemytymi pomidorami. Nie zwalnia też w sprawach sercowych: niedawno zdradził, że ożenił się po raz piąty – wybranka jest od niego o prawie cztery dekady młodsza.

U progu osiemdziesiątki coraz bardziej pochłaniały go projekty, które miały mu zapewnić trwałe miejsce w historii. W 2023 r. ufundował przy Uniwersytecie Oksfordzkim Ellison Institute of Technology, wyznaczając mu cywilizacyjną misję: opracowanie terapii nowotworowych, przeciwdziałanie kryzysom żywnościowym, rozwój technologii, przyspieszenie odkryć w robotyce... To przedsięwzięcie z gatunku komercyjnej filantropii: Ellison ma dbać o długoterminowe finansowanie, a wydzielone przez instytut spółki – przekazywać wyniki badań w biznes i reinwestować zyski. Nieoficjalnie się mówi, że techno-

optymistyczna wizja fundatora nie do końca współgra z rytmem i rygorami pracy naukowej.

Przyjazna symbioza

Ellison dwukrotnie głosował na Billa Clintona, lecz za prezydentury Baracka Obamy przesunął się w stronę republikanów. Uważał, że Obama ma wrogie nastawienie do Izraela, którego sam jest zagorzałym obrońcą. Jego znajomość z Binjaminem Netanjahu wykracza poza standardową relację wpływowego biznesmena z prominentnym politykiem – podejmował Netanjahu wraz z rodziną na wyspie Lāna'i, a według dziennika „Ha-Arec” proponował mu nawet miejsce w radzie nadzorczej Oracle.

W 2016 r., gdy Trump po raz pierwszy ubiegał się o Białą Dom, faworytem Ellisona był Marco Rubio. Rebelia spod znaku MAGA nabierała jednak rozpędu, więc powoli zaczął zmieniać front. Oficjalnie nie udzielił Trumpowi poparcia, ale udostępnił mu swoje doświadczenia i pieniądze. Jak ustalił „Wall Street Journal”, w 2024 r. wpłacił na konto powiązanej z przyszłym prezydentem organizacji 45 mln dol. Od tamtego czasu połączyła ich przyjaźń oparta na wzajemnych przysługach. Ellison przeniósł też swoją główną rezydencję na Florydę – jego posiadłość dzieli 20 min jazdy samochodem od Mar-a-Lago. Po zaprzysiężeniu Trumpa wyłożył kolejne miliony na prezydenckie inicjatywy, w tym na obchody 250. rocznicy powstania Stanów Zjednoczonych. Stał się jednym z nielicznych przyjaciół Trumpa, którzy nie muszą przy każdej nadarzającej się okazji dowodzić lojalności publicznymi hołdami.

Znajomość szczerze zaprocentowała. Oracle znalazło się w gronie inwestorów, którzy przejęli kontrolę nad amerykańską wersją TikToka. Nowe joint venture ma prawo moderowania treści, a także dostęp do algorytmu aplikacji.

Koneksje w Białym Domu pomogły też zakończyć przeciągającą się batalię o przejęcie Paramount. Warta 8 mld dol. oferta Ellisonów została przyjęta latem 2024 r., ale na ostatniej prostej kampanii transakcja nabrała politycznego wymiaru. Trump pozwał kontrolowaną przez Paramount telewizję CBS, twierdząc, że program „60 Minutes” zmanipulował fragment wywiadu z jego demokratyczną rywalką Kamalą Harris. Materiał zmontowano zgodnie ze standardami redakcyjnymi i wielu prawników zapewniało, że zarzuty przepadną w sądzie, jednak po wyborach sprawa stała się dla Paramountu obciążeniem. Federalna Komisja Łączności (FCC) mogła opóźnić, a nawet zablokować umowę. Zainstalowany przez Trumpa na fotelu prezesa Brendan Carr niedwuznacznie dał do zrozumienia, że nie wyda zgody na fuzję ze Skydance'em do czasu rozwiązania sporu z Białym Domem. Koncern poszedł więc na ugodę, zobowiązując się do wpłaty 16 mln dol. na fundusz prezydencki. Ustępstwa nie ograniczyły się do kwestii finansowych. Ellisonowie mieli obiecać Trumpowi, że CBS News przyjmie bardziej konserwatywny kurs.

Na zmiany nie trzeba było długo czekać. W październiku 2025 r. David obsadził w roli szefowej Bari Weiss, publicystkę znaną z proizraelskiej postawy

i ostrej krytyki ruchów progresywnych. Weiss w krótkim czasie zmieniła ton stacji na bardziej przychylny administracji, a przy okazji ściągnęła na siebie oskarżenia o ręczne sterowanie. Największe kontrowersje wywołało zdjęcie materiału „60 Minutes” na temat CECOT, więzienia o zastraszonym rygorze w Salwadorze, do którego administracja deportowała imigrantów. Ostatecznie program pokazano po dwóch miesiącach. Z powodu konfliktów na tle zarządzania i linii redakcyjnej wielu dziennikarzy zostało zwolnionych albo złożyło wypowiedzenia.

Ellisonowie wyczuli, że klimat polityczny sprzyja dalszej ekspansji. W grudniu 2025 r. Netflix zawarł porozumienie w sprawie przejęcia Warner Bros. za prawie 83 mld dol. Paramount Skydance próbował go przelicytować ofertą 108 mld dol., ale zarząd giganta Hollywood odrzucił propozycję. Ojciec i syn nie odpuszcili: Larry osobiście zagwarantował 40,4 mld dol., co oznacza, że w razie gdyby inne źródła kapitału zawiodły, musiałby pokryć zobowiązania z własnego majątku. Pod koniec lutego Netflix wycofał się z gry, oświadczając: „Transakcja nie jest już atrakcyjna finansowo”. Stało na 111 mld dol.

Pachnie korupcją

Po połączeniu Ellisonowie będą kontrolować dwie wiodące wytwórnie filmowe (Paramount i Warner Bros.), ok. 30 kanałów kablowych (m.in. CNN, HBO, TNT, Comedy Central, Cartoon Network i Food Network), kilka studiów gier i dwa serwisy streamingowe (HBO+ i Paramount+), które w Stanach Zjednoczonych mają razem więcej subskrybentów niż Netflix. Dostaną bibliotekę tytułów kinowych, która ustawi ich w gronie takich tytanów jak Disney: od „Śpiewaka jazzbandu”, pierwszego pełnometrażowego filmu dźwiękowego, przez „Batmana” i „Harry'ego Pottera”, po „Blade Runnera” i „Star Treka”. W telewizyjnej kolekcji nowego konglomeratu znajdują się m.in.: „Przyjaciele”, „Gra o tron”, „Rodzina Soprano”, „Teoria wielkiego podrywu” i „South Park”. Ellisonowie mogliby nawet przyćmić skalą potęgę dynastii Murdochów w jej szczytowym okresie, kiedy obok tytułów prasowych i stacji TV nadzorowała wytwórnię 20th Century Fox.

Jeśli fuzja doczeka się finału, na cztery największe koncerny – Paramount Warner Bros., Disney, Universal i Sony – przypadnie aż 86 proc. rynku filmów trafiających do szerokiej dystrybucji. Jak wynika ze śledztwa „The Wall Street Journal”, prawnicy Departamentu Sprawiedliwości, którzy badali umowę, skłaniali się do wniesienia pozwu, uznając, że naruszałaby ona prawo antymonopolowe. Na górze zapadła jednak inna decyzja. „Amerykanie muszą wiedzieć, czy to była polityczna przysługa. Cała ta sprawa pachnie korupcją” – alarmowała demokratyczna senatorka Elizabeth Warren. Ponad 5 tys. przedstawicieli branży – m.in. Emma Thompson, Ben Stiller i Javier Bardem – podpisało list protestacyjny, w którym podkreślili, że transakcja nie tylko przełoży się na wyższe ceny biletów i subskrypcji, lecz także zagrozi dziesiątkom miejsc pracy i zawęzi możliwości twórców. ©

Kto zapanuje nad cieśniną Ormuz

Odcięcie dużej części dostaw surowców energetycznych znad Zatoki Perskiej uczyniło z USA największego eksportera ropy naftowej i paliw na świecie

Tomasz

Józwik

Wznowienie wojny z Iranem znów podbiło notowania surowców energetycznych. Od piątku (10 lipca) cena ropy naftowej podskoczyła o 12 proc., gaz ziemny w Europie podrożał o 10 proc., zaś hurtowe ceny oleju napędowego na Starym Kontynencie poszły w górę o 14 proc.

O ile w pierwszej fazie wojny – zakończonej w połowie czerwca porozumieniem zamrażającym konflikt na 60 dni – mogło Ameryce chodzić o zniszczenie potencjału atomowego Teheranu i doprowadzenie do upadku reżimu ajatollahów, o tyle druga rozgrywa się o kontrolę nad cieśniną Ormuz. Lub szerzej: o władzę nad rynkiem surowców energetycznych. Przekonanie świata, że należy ona do USA, wydaje się jedynym sensownym ekonomicznym uzasadnieniem trwającego piąty miesiąc konfliktu.

Dlaczego wróciła wojna

Czerwcowe porozumienie przypisało Iranowi odpowiedzialność za usunięcie w ciągu 30 dni wszelkich przeszkód ograniczających swobodny tranzyt statków przez Ormuz. Teheran interpretował ten zapis jako przyznanie mu kontroli nad cieśniną. Jednak już wcześniej niektóre statki wybierały trasę wzdłuż wybrzeży Omanu, zamiast głównego szlaku – i z czasem powstał alternatywny korytarz, nad którym pieczę przejęła flota amerykańska. Rosnąca skala transportu była jednym z czynników ograniczających wzrost cen ropy, nim jeszcze wojna w ogóle została zamrożona.

Szlak wzdłuż wybrzeży Omanu, pozostający pod kontrolą USA, zagrażał pozycji Iranu, jako państwa kontrolującego Ormuz. Stąd ataki na statki płynące przez cieśninę, w tym te płynące alternatywną trasą. Według źródeł amerykańskich w ciągu tygodnia Iran zaatakował siedem jednostek. Zginął przynajmniej jeden marynarz, a kilku zostało rannych lub uznanych za zaginionych. Odradzający się stopnio-

wo ruch statków przez cieśninę spadł do najwyżej kilkunastu jednostek dziennie.

Na działania Iranu Stany Zjednoczone odpowiedziały trzema seriami intensywnych nalotów, zakończonych w niedzielę. Także w kolejnych dniach agencje informowały o kolejnych atakach. Od środy amerykańska flota wznowiła blokadę irańskich portów, by w ten sposób odciąć Teheran od przychodów ze eksportu ropy naftowej.

Trump może walczyć dalej

Do wznowienia wojny Stany Zjednoczone skłoniły nie tylko działania Iranu. Ważne są także ekonomiczne okoliczności. Opublikowane w ostatnich miesiącach dane z rynku pracy pokazały, że amerykańska gospodarka jest w dobrej kondycji. Między kwietniem a czerwcem powstawało poza rolnictwem średnio 111 tys. nowych etatów miesięcznie, co stanowi znaczną poprawę w porównaniu z 15 tys. w 2025 r.

Kursy akcji notowanych na amerykańskich giełdach utrzymują się w pobliżu historycznych maksimów, a niektóre banki inwestycyjne, jak np. J.P. Morgan, podniosły prognozy stóp zwrotu w tym roku. Zyski amerykańskich przedsiębiorstw notowanych na Wall Street rosną i niewiele wskazuje, żeby trwająca od października 2022 r. hossa napędzana sztuczną inteligencją miała się zakończyć. Innym słowem: problemy dla amerykańskiej gospodarki wynikające z pierwszej fazy wojny na Bliskim Wschodzie są na razie pomijalne.

Wprawdzie inflacja wzrosła do 4,2 proc., co jest najwyższym poziomem od trzech lat, lecz wynika ona głównie z drożących surowców energetycznych. Brakuje dowodów, by wyższe ceny ropy i paliw miały przenikać poza sektor energetyczny, powodując wzrost cen szerokiego spektrum towarów. Sugerują to także dane o inflacji publikowane w wielu innych państwach, również w Polsce.



O co chodzi Stanom Zjednoczonym

Według amerykańskiego prezydenta celem USA było niedopuszczenie do uzyskania przez Teheran broni jądrowej, wyeliminowanie zdolności do ataków rakietowych, zniszczenie przemysłu obronnego czy wreszcie doprowadzenie do zmiany reżimu. Po pierwszej fazie konfliktu amerykańska administracja musi zdawać sobie sprawę, że zrealizowanie dużej części planów nie jest możliwe bez lądowej inwazji. A takie rozwiązanie z wielu powodów wydaje się bardzo mało prawdopodobne, by amerykański prezydent zdecydował się na zaangażowanie w konflikt na tak znaczną skalę bez jasnego celu.

Jedynym logicznym ekonomicznym uzasadnieniem dla wojny jest umocnienie dominującej roli Stanów Zjednoczonych na rynku surowców energetycznych. Przed atakiem na Iran USA schwytały i postawiły przed amerykańskim sądem Nicolása Maduro – skutkiem uwięzienia wenezuelskiego prezydenta jest uzyskanie przez Waszyngton przynajmniej pośredniej kontroli nad potężnymi złożami ropy w tym kraju. A w zeszłym roku media opisywały koncepcję, w której USA miałyby stać się pośrednikiem w sprzedaży rosyjskich surowców energetycznych. Cho-

dzi przede wszystkim o dostawę gazu do Europy.

Ten scenariusz wciąż można uznać za aktualny mimo planowanego wyeliminowania gazu z Rosji z unijnego rynku w przyszłym roku. Zakładając, że europejscy politycy są zdeterminowani, żeby odciąć się od surowca ze Wschodu, warto zwrócić uwagę, że biznes jest równie mocno zdeterminowany, by dalej z niego korzystać. Jak wynika z danych firmy Kpler, 97 proc. dostaw LNG z terminalu na Jamale, jednego z najważniejszych tego typu projektów Kremla, zrealizowanych w I półroczu 2026 r., trafiło do unijnych portów. Jeśli tylko kupiony od Rosji surowiec stanie się nagle „amerykański”, dostarczając formalnego pretekstu do obejścia ograniczeń, unijne firmy zapewne z niego skorzystają.

Za emanację rzeczywistych intencji Białego Domu związanych z wojną uznać można zgłoszony w poniedziałek przez Trumpa pomysł pobierania opłat za bezpieczną przeprawę przez Ormuz. Amerykański prezydent zaproponował, by statki korzystające z ochrony US Navy płaciły 20 proc. wartości przewożonego ładunku. Iran próbował pobierać opłaty za tranzyt, które podwyższałyby koszt transportu baryłki ropy o 1 dol. Propozycja Trumpa przekładała się na 16 dol. dodatkowych opłat od każdej baryłki. Ze swojego pomysłu amerykański prezydent wycofał się we wtorek.



Cieśnina Ormuz

Arabia Saudyjska pracuje nad rozbudową przepustowości portu Janbu nad Morzem Czerwonym, żeby 7 mln baryłek dziennie transportowanych rurociągiem Wschód-Zachód mogły w całości trafić na eksport. Obecnie terminal w Janbu jest w stanie wysłać na rynki zagraniczne 5 mln baryłek dziennie. Nie jest wykluczone, że Arabia Saudyjska zdecyduje się na dalszą rozbudowę hubu, obejmującą także zwiększenie przepustowości rurociągu.

Nad odbudową rurociągu, prowadzącego do syryjskiego portu Banijas, pracuje z kolei Irak. Poparcie dla inwestycji wyraziły Stany Zjednoczone. Realizowane projekty mogą zmniejszyć zależność regionu od cieśniny Ormuz, ale nie usuną zasadniczego problemu. Infrastruktura transportowa i wydobywcza w dalszym ciągu położone będą na obszarze znajdującym się w zasięgu irańskich rakiet.

USA władają ropą i gazem

Gdy wojna odcięła dużą część dostaw surowców energetycznych z Zatoki Perskiej, to m.in. zwiększony eksport ropy i gazu z USA zapewnił względną stabilność na globalnych rynkach. W maju Stany Zjednoczone dostarczały rekordowe 10,5 mln baryłek ropy i paliw, wyprzedzając pod tym względem Arabię Saudyjską i Rosję, dotychczasowych liderów.

Tak wysoki poziom eksportu udało się uzyskać dzięki uwolnieniu strategicznych rezerw ropy, co wskazuje, że jest on nie do utrzymania na dłuższą metę. Niemniej w miarę przeciągania się konfliktu, umacnia się pozycja USA jako pewnego dostawcy. Pomagają w tym narastające problemy Rosji z eksportem paliw, wynikające z ukraińskich ataków na rafinerie. Jak zwróciła uwagę Michelle Brouhard z firmy Kpler, Waszyngton zyskał nowe narzędzie nacisku: już wcześniej USA stały się największym eksporterem gazu ziemnego na świecie, a w połączeniu z rolą dolara jako waluty, w której rozlicza się handel surowcami energetycznymi, daje to amerykańskiej administracji niezwykle silną pozycję na tym rynku.

Nie bez znaczenia w tym równaniu jest to, że po jego drugiej stronie są Chiny. Druga co do wielkości gospodarka świata jest największym na świecie importerem surowców energetycznych. Z jednej strony Pekin wykazał odporność na zakłócenia w dostawach, ograniczając import ropy o ok. 40 proc. po wybuchu wojny. Z drugiej – w dłuższym terminie także w relacjach ze swoim największym strategicznym rywalem Stanom Zjednoczonym atut w postaci kontroli nad podażą może się okazać cennym narzędziem. A jeśli nie, to zawsze będzie można wystawić rachunek swoim sojusznikom z Europy.



Więcej tekstów tego autora
Skanuj kod!
DGP.pl

Rurociągi ominą cieśninę Ormuz

Gdy wybuchła wojna, niektórzy eksperci sugerowali, że tranzyt statków przez Ormuz może nigdy nie wrócić do poziomów sprzed konfliktu. Tak jak w przypadku cieśniny Bab al-Mandab, łączącej Morze Czerwone z Morzem Arabskim, poprzez Zatokę Adeńską. Pod koniec 2023 r. płynące tym szlakiem statki zaczęły atakować jemeńscy Huti, wspierając Palestyńczyków walczących z Izraelem. Ostrzał praktycznie zakończył się na początku 2025 r., a mimo tego ruch statków jest niższy o ok. 40 proc. niż był we wcześniejszych latach.

Biorąc pod uwagę znaczenie cieśniny Ormuz dla rynku surowców energetycznych, taki sam scenariusz w odniesieniu do tego szlaku niedawno wydawał się nieprawdopodobny. Ale utrzymujące się problemy z żegluga skłoniły państwa regionu do zainwestowania w alternatywne trasy transportu surowców. Najbardziej zaawansowany jest projekt Zjednoczonych Emiratów Arabskich, które do końca przyszłego roku mają zwiększyć dwukrotnie przepustowość rurociągu prowadzącego do portu Fudżajra, leżącego na otwartych wodach Zatoki Omańskiej. Ukończenie rozbudowy oznaczać będzie, że ZEA będą mogły cały eksport realizować z pominięciem cieśniny Ormuz.



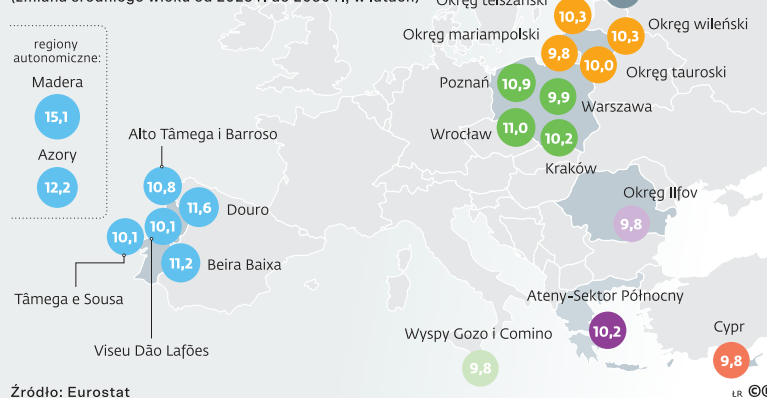
Łukasz

Wilkiewicz

Średni wiek o 10 lat w górę. I to w ćwierć wieku

W zaczynającym się właśnie ćwierćwieczu duże polskie miasta będą w grupie najszybciej starzejących się miejsc w całej UE. Eurostat przedstawił właśnie prognozy demograficzne dla poszczególnych regionów na poziomie NUTS3, czyli bardziej szczegółowym niż nasze województwa. Wynika z nich, że Wrocław z szacowanym wzrostem przeciętnego wieku mieszkańca o 11 lat (w 2050 r. średni wiek ma tam wynieść 51,6 lat) będzie na piątym miejscu w „rankingu starzenia”. Wyprzedzać go będą jedynie cztery regiony Portugalii. Tuż za Wrocławiem lokuje się Poznań, gdzie średni wiek mieszkańca do w 2050 r. ma się podnieść o 10,9 lat (do 52,5 lat).

20 regionów UE (NUTS3), które wyróżniają się w prognozach demograficznych do 2050 r. (zmiana średniego wieku od 2025 r. do 2050 r.; w latach)

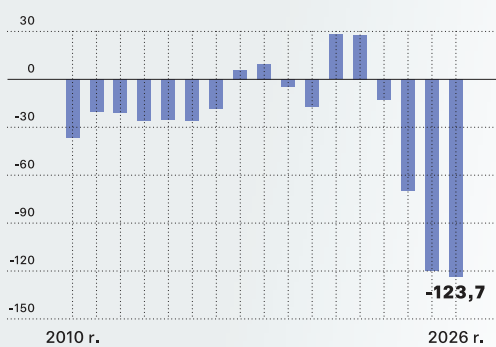


Źródło: Eurostat

Dochody budżetu rosną szybciej niż wydatki

123,7 mld zł wynosi na koniec czerwca tegoroczny deficyt budżetu państwa, wynika z danych Ministerstwa Finansów. Dziura w kasie państwa jest o 3,4 proc. wyższa niż w analogicznym okresie 2025 r. Pierwszy raz od pięciu lat mamy sytuację, w której wzrost dochodów (podniosły się o 5,5 proc.) przewyższał tempo zwiększania się wydatków (4,8 proc.).

Budżet państwa w I półroczu (saldo w mld zł)



Źródło: GUS, MF

o 3,4 proc. wyższa niż w analogicznym okresie 2025 r. Pierwszy raz od pięciu lat mamy sytuację, w której wzrost dochodów (podniosły się o 5,5 proc.) przewyższał tempo zwiększania się wydatków (4,8 proc.). Po połowie roku planowane na cały rok dochody zostały zrealizowane w 43,1 proc., co sugeruje, że i w tym roku do realizacji założeń ustawy budżetowej może nieco zabraknąć.

Inflacja w celu mimo cen paliwa

12-miesięczna inflacja w czerwcu wyniosła 2,5 proc. To dokładnie tyle, ile wynosi cel NBP. Ale w poszczególnych kategoriach koszyka konsumpcji sporo się dzieje. Wygaszenie programu CPN (Ceny paliw niższej) doprowadziło do znaczącego wzrostu cen benzyny i oleju napędowego. W czołówce zestawienia najszybciej drożejących kategorii są nieobjęte CPN paliwa płynne do ogrzewania mieszkań (choć drożały one we wcześniejszych miesiącach, czerwiec przyniósł obniżki) oraz „pozostałe paliwa do prywatnych środków transportu”, czyli przede wszystkim gaz (akurat w czerwcu on również potaniał).

Największe 12-miesięczne zmiany cen w czerwcu (proc.)

WZROSTY	
Paliwa płynne (mieszkanie)	36,9
Nośniki do nagrywania	30,4
Pozostałe paliwa do prywatnych środków transportu	23,1
Prywatne ubezpieczenie zdrowotne	22,1
Papierosy	19,7

SPADKI	
Pozostały sprzęt informacyjno-telekomunikacyjny	-18,9
Sprzęt fotograficzny i kinematograficzny	-22,5
Kapusta	-22,9
Buraki, świeże lub schłodzone	-23,4
Masło i pozostałe tłuszcze i oleje z mleka	-25,4

Źródło: GUS

LR ©



FOT. STUDIO KOLECKI/MAT. PRASOWE

Przejąć, zmanipulować i wpuścić w obieg

Olejnik

dr Łukasz

Najbardziej niebezpieczne operacje kognitywne i informacyjne nie zaczynają się od wymyślonej w próżni fikcji, lecz od prawdziwego konfliktu, który ktoś potrafi przejąć, uprościć, przetworzyć i wpuścić do obiegu. Pewne elementy narracji się wycisza, inne wzmacnia. Złożony spór zostaje zamieniony w nośny przekaz, który można wykorzystać politycznie lub wojskowo. W 2026 r. to podstawowa technika wywierania wpływu w środowisku międzynarodowym, regionalnym i krajowym. Nie są to działania przypadkowe – prowadzi się je metodycznie, z użyciem technologii, które pełnią funkcję broni informacyjnej.

Celem takich operacji nie musi być przekonanie społeczeństwa do konkretnej wersji wydarzeń. Często nie chodzi o przekonywanie kogokolwiek do czegokolwiek. Można np. utwierdzać ludzi w ich przekonaniach, by zaostreć spór. Niekiedy wystarczy przesunąć ramy lub uwarunkowania debaty: znormalizować coś, co wcześniej było na marginesie, podważyć zaufanie do instytucji, wprowadzić tematy wywołujące społeczne podziały, sprawić, że ryzykowne rozwiązanie będzie uchodzić za naturalne (idealny przykład: Brexit). Spór centrum z prowincją, dużych miast z mniejszymi ośrodkami, wojny kulturowe, migracja, zdrowie publiczne, prawa ludności rdzennej, lęk o suwerenność czy poczucie ekonomicznego wyzysku – wszystkie te kwestie mogą się stać użytecznym punktem wejścia. Dezinformacja nie zastępuje polityki. Staje się jedynie narzędziem jej kształtowania.

Widać to zwłaszcza w państwach nordyckich i w rejonie Arktyki. Od czasu przyjęcia do NATO Szwecji i Finlandii bezpieczeństwo tego regionu splata się z europejską architekturą bezpieczeństwa. Na szczęście coraz lepiej rozumiemy, że walka informacyjna i operacje wpływu są elementem działań poniżej progu wojny, obok cyberataków, sabotażu, szpiegostwa i nacisku gospodarczego. Warto zauważyć, że również państwa nordyckie nie uznają dezinformacji za problem czysto medialny czy komunikacyjny. Norwegia, która traktuje odporność na dezinformację jako jeden z filarów bezpieczeństwa państwa i stabilności demokracji, planuje rozwinąć zdolności analityczne i operacyjne przy użyciu istniejącego zaplecza badawczego. Niektóre z opracowywanych tam rozwiązań mogą się stać wręcz modelem dla Europy i świata. W Szwecji od kilku lat istnieje Agencja Obrony Psychologicznej. Z kolei Dania traktuje amerykańskie naciski w sprawie Grenlandii jako problem integralności państwa.

Norweski Instytut Badań Obronnych (FFI) przeanalizował ponad 22 mln wpisów i komentarzy na temat wyborów parlamentarnych z 2025 r. Wnioski były dość trzeźwe: środowisko informacyjne stało się bardziej złożone i mniej przejrzyste, a granica między wpływem zewnętrznym, działaniem lokalnych aktorów i dynamiką platform coraz trudniejsza do uchwycenia. Najbardziej konkretny przykład to kampania #OpNorway, łącząca aktywność w mediach społecznościowych z cyberatakami DDoS wymierzonymi na stronę jednej z partii politycznych. Pokazało to gotowość uderzania nie tylko w opinię publiczną, lecz także w samo funkcjonowanie procesu wyborczego.

Działania obejmują też sferę informacyjną. Po zatonięciu rosyjskiego statku „Ursa Major” w 2024 r. prorosyjskie kanały przerobiły to zdarzenie na opowieść o odmowie pomocy tonącym Rosjanom przez Norwegię. To dobry przykład techniki, o której pisałem wcześniej: realne wydarzenie zostaje przepisane i pущzone w obieg. Wystarczy nadać katastrofie takie znaczenie, by uderzało w reputację państwa i wzmacniało narrację o rusofobicznej Norwegii. Podobne operacje – zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne – znamy również z Polski. Nie zawsze stoi za nimi Rosja, choć w naszym przypadku narracje historyczne są zdumiewająco skuteczne.

Sprawa Grenlandii pokazała jeszcze bardziej niewygodny scenariusz: część chaosu informacyjnego nie była efektem aktywności otwarcie wrogiego państwa, lecz wynikała z wypowiedzi przedstawicieli państwa sojuszniczego. Chodzi o moment, w którym USA wróciły do deklaracji o zainteresowaniu przejęciem wyspy. Lokalna debata o niepodległości Grenlandii, bezpieczeństwie i relacjach z Danią nagle stała się elementem międzynarodowego sporu. Duńskie służby otwarcie informowały, że wypowiedzi polityków, komentatorów i wpływowych Amerykanów mogą zostać wykorzystane przez obce państwa do prowadzenia operacji wpływu. Odnotowano również fałszywe profile podszywające się pod duńskich i grenlandzkich polityków. Służby nie przepisały tych działań żadnemu konkretnemu państwu. Dla Danii i całej Unii Europejskiej problem stanowiły wypowiedzi, które dostarczyły gotowego materiału Rosji czy Chinom.

Kraje nordyckie i Arktyka mają specyficzną strukturę podatności. W wielu miejscach informacja nie krąży tam tak jak w dużych państwach Europy kontynentalnej. Społeczności są mniejsze, bardziej rozproszone, wielojęzyczne. Lokalne media mają ograniczone zasoby. Ważną rolę odgrywają nieformalne kanały komunikacji i relacje osobiste. To może utrudniać operacje wpływu, ale też komplikuje obronę przed nimi. Nieporozumienie, plotka czy odpowiednie

uproszczenie nie rozchodzą się jedynie w internecie. Mogą się przenosić do rozmów bezpośrednich, wpływać na decyzje samorządów lokalnych oraz przenikać do sporów o ziemię, zasoby, tożsamość i bezpieczeństwo. Trudno to korygować edukacją i fact-checkingiem, których skuteczność jest bardzo ograniczona.

Dobrym przykładem jest Svalbard, norweski archipeląg na Morzu Barentsa. Traktat z 1920 r. regulujący jego status przyznaje obywatelom innych państw stron określone prawa gospodarcze. Rosja ma tam osadę Barentsburg i od lat próbuje nadawać jej znaczenie wykraczające poza lokalny wymiar. W bliskim sąsiedztwie działają nie tylko kutry rybackie, lecz także rosyjska flota. Można z tego budować różne linie informacyjne, np. że Oslo ogranicza historyczne prawa Moskwy, NATO wypycha Rosję z północy, a państwa zachodnie nadużywają prawa międzynarodowego. W 2025 r. Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne otworzyło biuro w Barentsburgu. Jednym z jego projektów ma być interaktywna mapa rosyjskiej historycznej obecności na archipelagu. To dobry przykład na to, że wpływ nie musi przybierać formy agresywnej propagandy. Nie chodzi o żadne roszczenia, lecz o prawdę historyczną i naukę, które są poza polityką, czyż nie?

Manipulowanie historią widać też w Finlandii. Rosyjska kampania wpływu od lat próbuje powiązać ten kraj z oskarżeniami o nazizm, rusofobię i zbrodnie w Karelii. W 2025 r. na znajdującym się w rosyjskiej części krainy pomniku fińskich żołnierzy pojawił się symbol „Z”. W rosyjskich kanałach zaczęto zaś mówić o „pomniku fińskich nazistów”. Narrację tę powielali później wysocy urzędnicy Kremla. Ten znajomy schemat pokazuje, jak można odczytać i przepisać historię, by stała się narzędziem wywierania presji.

Kolejnym źródłem ryzyka jest Islandia, która w sierpniu rozstrzygnie w referendum o wznowieniu negocjacji akcesyjnych z Unią Europejską. W normalnych warunkach głosowanie byłoby zwykłą decyzją o przyszłości. Ale warunki nie są normalne. Wojny handlowe, presja dużych partnerów, owe napięcia wokół Grenlandii i rywalizacja o Arktykę powodują, że zbliżenie Islandii z UE staje się kwestią strategicznego zakotwiczenia tego państwa w erze niestabilności i zagrożeń. Istnieje świadomość, że zewnętrzne wpływy mogą zakłócić naturalny proces demokratyczny.

W tym przypadku najlepszym nośnikiem narracyjnym są ryby, np. dorsz. Na Islandii rybołówstwo uchodzi za rdzeń gospodarki – kluczowy dla rynku pracy i rozwoju państwa oraz ściśle związany z niezależnością i suwerennością. Dlatego pytanie o zacieśnianie relacji, a nawet wstąpienie do UE można łatwo przepakować w pytanie: „czy Bruksela będzie decydować o tym, kto i ile łowi na naszych wodach?”. Taka narracja nie musi być całkowicie fałszywa, żeby była manipulacyjna. Może być zarazem wyjątkowo skuteczna. Wystarczy przesunąć punkt ciężkości referendum z mandatu negocjacyjnego na emocjonalny spór o morze i kontrolę nad państwem.

Rozmiary i specyfika Islandii powodują, że wystarczy wzmocnić nieufność wobec źródeł informacji i rozsiać kilka przekonujących uproszczeń, by manipulacje przeniosły się poza sieć. A najlepiej od razu działać poza internetem. W Rejkjaviku było to już widać w rachitycznych protestach przeciwko zbliżeniu z Brukselą po Brexicie w 2019 r. Mimo małej skali pokazały one, jak łatwo zaimportować ujęcia tematyczne z innych miejsc i przyklejać je do lokalnego kontekstu. Znamy to również z Polski – dyskusje w niektórych środowiskach charakteryzuje nadreprezentacja wątków i problemów bardziej dotyczących USA czy zachodniej Europy. Obywatele dość łatwo zauważają, że tematy takie jak kolonializm czy wojny tożsamościowe na naszym gruncie wybrzmiewają sztucznie.

Operacje wpływu to nie zawsze spektakularne akcje o wielkim zasięgu. Czasem to działanie bezpośrednie, a wręcz osobiste. Niedawne referendum w Szwajcarii w sprawie wprowadzenia konstytucyjnego ograniczenia populacji do 10 mln pokazało, jak taki wpływ może wyglądać offline. Przed głosowaniem część mieszkańców pochodzenia migranckiego otrzymała listy udające korespondencję z Sekretariatu Stanu ds. Migracji. Informowano w nich, że ich zezwolenie na pobyt zostanie cofnięte do końca roku. Do przesyłek dołączono listę czynności do wykonania przed wyjazdem. Choć inicjatywa referendalna upadła, mechanizm manipulacji jest poważny. Ktoś próbował wywołać strach, podszywając się pod państwo. Takie działanie może być skuteczne, bo jest adresowane do konkretnego człowieka.

Przykłady te ilustrują pewien model działania. Najpierw rozpoznaje się realne napięcie. Mogą to być ryby i suwerenność, Svalbard i prawa do ziemi, szczepionki, miejsca pracy, migracja... Skomplikowane zagadnienia upraszcza się do nośnego przekazu, który wywołuje emocje. Dobiera się format: wpis, film, komentarz, list, fałszywy serwis informacyjny, zmanipulowana infografika, wygenerowany przez AI wykres albo napisana na kolanach analiza wpływu. Najlepiej, by odbiorca nie wiedział, czy stoi za nimi lokalny aktywista, urząd, ekspert, fałszywe konto czy osoba działająca w dobrej wierze.

Dlatego śledztwa mają znaczenie. Państwa prowadzące operacje wpływu trzeba wskazywać tam, gdzie istnieją dowody lub silne przesłanki. Rytualne nazywanie wszystkiego „dezinformacją” lub „zagranicznym wpływem” tylko pogarsza sprawę, bo zaciera różnicę między błędem, interesami, kampanią polityczną, oportunistycznym i zewnętrzną operacją. Rzucanie tymi terminami na prawo i lewo spłaszcza je i wypłukuje ze znaczenia, a w rezultacie osłabia państwo. Wiele analityków, ekspertów i polityków już to zauważyło, skłaniając się ku innemu określeniu: wojna kognitywna. Co jednak, jeśli i to technicznie brzmiące pojęcie zacznie być nadużywane?

©

Autor jest niezależnym konsultantem i badaczem cyberbezpieczeństwa, autorem książki „Filozofia cyberbezpieczeństwa” i „Propaganda”, senior research fellow związany z Wydziałem Studiów nad Wojną King's College London

Kraj



Arkadiusz Myrcha,
poseł Koalicji Obywatelskiej,
wiceminister sprawiedliwości

Czy z tego bagna można wyjść?

Techniczne ustawy są przez prezydenta zazwyczaj podpisywane. Ale zawsze, gdy pojawia się jaskółka nadziei, że coś się prostuje, równolegle komplikują się inne kwestie

Z Arkadiuszem

Myrchą

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

Dlaczego premier przeproszał za tempo rozliczeń?

Uczciwie rzecz biorąc, na ocenę procesu rozliczeń składają się dwa segmenty. Pierwszy to uruchomione na niespotykaną skalę postępowania prześwietlające działania poprzedników. Tak duża liczba osób pełniących funkcje publiczne nie zasiadła na ławie oskarżonych jeszcze nigdy. Wystarczy wrócić do czasów sprzed 2023 r. Zazwyczaj była

pojedyncza sprawa jakiegoś polityka czy prezesa spółki. Dziś mamy młyn. Ponad 600 osób usłyszało ponad 1,5 tys. zarzutów w ponad setce śledztw. Do sądu skierowano ponad 60 aktów oskarżenia. To dowód, że patologie poprzedniej władzy miały charakter systemowy, że szły od góry do dołu, przez urzędników różnego szczebla. A przecież pamiętam, że tuż po wyborach byliśmy pytani, czy uda się cokolwiek zrobić przy tym betonowanym przez osiem lat systemie.

A jednak premier przeprosza. Coś poszło nie tak. I tu dochodzimy do drugiego segmentu publicznej oceny rozliczeń.

Pewnym symbolem jest sprawa Zbigniewa Ziobry, która częściowo rzutuje na ocenę całości. Jest to przypadek absolutnie wyjątkowy – musimy wziąć pod uwagę pomoc wysokich urzędników z innych państw i parasole polityczne. Te prędzej czy później są jednak składane albo okazują się dziurawe. Uciekający do Dubaju czy innych egzotycznych miast lub państw też w końcu trafiają przed oblicze sądu. Ziobro nie będzie wyjątkiem.

Tak czy inaczej, musicie się tłumaczyć wyborcom, dlaczego przebywający w Stanach Zjednoczonych Zbigniew Ziobro

nazywa was fajtlapami i śmieje się w twarz pełnym patetycznych słów prokuratorom.

Chciał być groźnym szeryfem, a zachowuje się jak pięciolatek, który myśli, że nikt go nie złapie. Żałosny upadek polityka, który kiedyś chciał być delfinem i następcą Kaczyńskiego. Jego obrońcy często rozpaczliwymi wnioskami i sztuczkami przeciągają procedury, odwołania, terminy – wszystko, by grać na czas. A my nie możemy tego przeskakiwać, łamiąc prawo. We wszystkich historiach z podejrzeniami czy zarzutami kluczową rolę odgrywają przepisy i materiał dowodowy, a nie wola polityczna. Prokurator generalny ma w swojej gestii co najwyżej decyzje personalne, może się przyjrzeć jednemu czy drugiemu śledztwu, sprawdzić, czy tempo pracy nie jest zbyt słamazarne.

Chce pan powiedzieć, że musicie pogodzić się z tym, że czasem zdarzą się postępowania – takie jak w sprawie dwóch wież albo maseczek – które dojdą do ściany?

Paradoksalnie to dowody, że prokuratura nie jest zbrojnym ramieniem partii, że nie działa na kiwnięcie palcem jednego czy drugiego polityka, ale przecież po to dochodziliśmy do władzy – z przeświadczeniem, że tak właśnie być nie może. To nie oznacza bierności. Niektóre decyzje są zaskarżalne w odpowiednich trybach, lecz mamy przynajmniej poczucie, że prokuratura prześwietla wszystkie wątki, przesłuchuje tych, co trzeba. Zarazem proszę nie zapominać, że na jedną umorzoną historię mogą pójść kilka, które dotarły do etapu ławy oskarżonych. Dla przykładu: Błaszczak, Szczucki, Macierewicz, Matecki, Woś, Dworczyk, Obajtek, Ziobro...

Spora część ważnych ludzi koalicji mówi, że Ziobro dalej trzęsie prokuraturą poprzez swoich ludzi.

Fakt faktem, że na najwyższym szczeblu – np. zastępców prokuratora generalnego – są osoby powołane przez Zbigniewa Ziobrę. I tak, Waldemar Żurek na kilku boiskach musi działać z szeroko rozumianymi ludźmi Ziobry. Czy na niższych szczeblach prokuratury też tak to wygląda? Trudno stawiać jednoznaczne tezy, że preferencje polityczne mają dziś kluczowy wpływ na funkcjonowanie prokuratury, ale Waldemar Żurek uznał, że przykładów zaniechań czy lekceważenia procedur trochę było – jak na Śląsku, gdzie tempo

jest do podkręcenia. Nie mam jednak pół grama wiedzy o tym, jak to działa w praktyce. Zwyczajnie nie zajmujemy się tym w Ministerstwie Sprawiedliwości i nie powinniśmy się zajmować. Ministerstwo to nie prokuratura.

To czym się zajmujecie w resorcie, jeśli nie rozliczeniami? Czekaliśmy na to pytanie. MS to głównie legislacja, ale także sprawowanie nadzoru administracyjnego: nad sądami, zawodami prawniczymi, syndykami. Nasza codzienna praca przypomina mrówczą, benedyktyńską pracę nad kolejnymi projektami ustaw, które z mozołem, element po elemencie, poprawiają wymiar sprawiedliwości w naszym kraju.

Mówi się, że gdybyście choć połowę uwagi poświęcały na rozliczenia skierowali na walkę o przyspieszenie w sądach, wszystkim żyłoby się lepiej.

I tak się dzieje, choć nie jest to tak widowiskowe medialnie jak informacja o zarzutach czy wszczęciu postępowania. Wiem, że świat działa trochę tak, że dziś powinniśmy ogłosić pomysł, jutro go przegłosować, a pojutrze rzeczywistość powinna być lepsza. Ale nasza robota przypomina inwestycję drogową. Poprzednia nawierzchnia została źle położona, ma pełno dziur i wybrzuszeń. Nie da się tego po prostu zalać asfaltem, musimy ją zedrzeć, sporządzić dokumentację, położyć nowe warstwy. I dopiero po czasie zacznie się lepiej jeździć.

I na jakim etapie jesteście pana zdaniem?

Ruszyły prace dla pierwszych etapów, a dla kolejnych sporządzamy dokumentację. Prawie 50 ustaw udało się skierować na Radę Ministrów, a kolejnych 50 jest w toku. Z czasem cały ten proces będzie widoczny również w statystykach: mamy mniej biurokracji, reorganizujemy pracę sądów i ich kadr, prostujemy procedury, regulujemy kwestie cyfryzacji i obiegu papierów, odkorkowujemy zatory ze sprawami frankowymi, wieczystoksięgowymi,

karnymi... Idziemy szerokim frontem. Niektóre ustawy weszły w życie, inne wchodzą, stabilizujemy sytuację i idziemy dalej z kolejnymi projektami.

Zaraz, zaraz. Jeśli ustawy mają zmienić życie na lepsze, to muszą mieć podpis prezydenta.

Powiem panu szczerze: techniczne ustawy są zazwyczaj podpisywane. I wcześniej przez prezydenta Dudę, i teraz przez prezydenta Nawrockiego. Powiem panu więcej: często głosują za nimi politycy Prawa i Sprawiedliwości. I chwała poszczególnym rozwiązaniom. Trudno, żebyśmy się kłócili o rejestry w mObywatelu, możliwość wysyłania do sądu pism w wersji cyfrowej czy przygotowany przez nas centralny rejestr biegłych dla sądów.

Jeszcze brakuje, by pan powiedział, że czasem uwzględniacie zdanie ludzi prezydenta i korygujecie ustawy, jeśli trzeba.

Przy okazji ustawy o zniesieniu ubezwłasnowolnienia przyszła prośba z Pałacu Prezydenckiego, żeby przedyskutować ją z prezydencką radą ds. osób z niepełnosprawnościami. Oczywiście wyraziliśmy gotowość.

Wzorowa współpraca ośrodka rządowego z prezydenckim. Skoro udaje się na poziomie roboczym, to może i na systemowym warto spróbować?

Skoro już rozmawiamy szczerze, to zawsze, gdy pojawia się jaskółka nadziei, że coś się prostuje, równolegle komplikują się inne kwestie. Ciężko zrobić krok do przodu. Jak gdyby nie można było wyjść z tego bagna.

Co ma pan na myśli?

Zostawmy z boku te wszystkie racje prawno-polityczne. Krajowa Rada Sądownictwa powoli zaczyna działać jak trzeba, Trybunał Konstytucyjny mógłby być stopniowo uzupełniany bez dyskusji o wadach przy powołaniu sędziów, na horyzoncie mamy kilka mniejszych kwestii, w których mogą wrócić normalność albo względnie działające mechanizmy. I nagle dostajemy blokadę zaprzysiężenia sędziów TK. Albo ostatni przykład: TK orzekł, że nominacje

asesorów nie wymagają kontrasygnaty premiera. A przecież konstytucja wyraźnie określa katalog wyłączeń. To ewidentna próba poszerzania kompetencji prezydenta. Rezultat? Prezesi sądów staną przed nowym dylematem: czy dopuścić do orzekania asesorów bez kontrasygnaty premiera? Wyrok TK to jedno; przecież orzeczenia tych asesorów będą kontestowane przez strony, a później prawdopodobnie podważane. Proszę się postawić w roli samych asesorów: dlaczego mają być zakładnikami kolejnego zamieszania? Nie wspominam o tym, że na pracowaliśmy się przy ustawie o dopuszczeniu asesorów do orzekania w sądach rodzinnych, chcąc usprawnić ten wrażliwy obszar. Prezydent Duda podpisał ustawę, a teraz ściana. Po co mnożyć ustrojowe problemy, skoro i tak mamy ich sporo?

Nad czym teraz pracujecie? Kilka dni temu z ministrami Żurkiem i Berkiem przedstawiliśmy pakiet pomysłów usprawniających sądownictwo w ramach „Deregulacji 2.0”. Jednym z ważniejszych elementów jest ustawa o biegłych, która powinna trafić do Rady Ministrów i Sejmu jesienią. Dziś w ogóle nie mamy prawa regulującego ten temat, tylko rozproszone przepisy, które nie dają żadnych narzędzi do kontroli jakości osób wydających kluczowe dla procesów opinie. Musimy o to zadbać, nie zapominając o odpowiednim wynagrodzeniu. Powstanie ekspercka komisja do certyfikacji biegłych i określania standardów. Jesteśmy po uzgodnieniach i konsultacjach. Dotykamy też tematów, które leżały odłogiem przez lata. Oprócz biegłych są to wspomniana wcześniej ustawa o zniesieniu ubezwłasnowolnienia, nowa ustawa o pracownikach sądowych czy ograniczenie nadużyć w tymczasowych aresztowaniach. Wszystko to krok po kroku wpłynie, a nawet już wpływa, na jakość pracy sądów. Choć może bez fajerwerków i widowiska w parlamencie.

O czym rozmawialiście na posiedzeniu klubu Koalicji Obywatelskiej?

Warto raz na jakiś czas się spotkać: wzajemnie zmobilizować, naszkicować plany, przegrupować szeregi, wymienić myśli, podsumować miejsce, w którym jesteśmy.

A w jakim miejscu jest Koalicja Obywatelska półtora roku przed wyborami? Nie uciekło wam Jagodno, symbol mobilizacji młodszych pokoleń wyborców? W języku politycznym często sprawdzają się analogie sportowe. W innym duchu, z inną energią i atmosferą wygrywa się tytuł po latach przerwy, a w innym duchu walczy się o jego utrzymanie. Każdy sezon jest inny: większe oczekiwania, nowe przeszkody. I tak jest też z kampanią po czterech latach rządów. Niektórzy wyborcy mają poczucie niedosytu, inni są w pełni zadowoleni, a kolejni tylko częściowo. Najważniejsze, że udało się skierować Polskę na bezpieczne i stabilne tory.

Nudno?

Nudny ma być kurs na bezpieczny, spokojny kraj, w którym gospodarka się rozwija, bezrobocie jest niskie, na gigantyczną skalę prowadzone są inwestycje infrastrukturalne i rozszerzana jest pomoc państwa? Nie zaskakujemy z dnia na dzień wrzutkami legislacyjnymi, które resetują system podatkowy, nie serwujemy wyborcom rollercoastera. Myślę, że ludzie to widzą, co też wychodzi w bardziej pogłębionych badaniach opinii publicznej. I to będzie naszą siłą – tym bardziej że gdy spojrzymy na naszych głównych rywali, to mamy tego kompletne przeciwieństwo. Czy pan wie, czego można się po nich dziś spodziewać? Jaką politykę wobec Unii Europejskiej chcą prowadzić? Morawieckiego czy Czarnka? Kurs na koalicję z Braunem czy wyrzucenie go na aut? Miotają się, są pogrążeni w wewnętrznym chaosie. My też musimy odrobić swoje lekcje, nic nie jest za darmo. Kampania w 2027 r. będzie zupełnie inna niż w 2023 r., ale wrócę do metafory z inwestycją drogową: nasza droga nie szarpie na co dzień. To wbrew pozorom dużo w dzisiejszym świecie. ©

AUTOPROMOCJA

DGP | Dziennik
Gazeta Prawna

Zmiany w prawie nie idą na urlop

3 miesiące dostępu
w wakacyjnej cenie



Skorzystaj:
dgp.pl/subskrypcja



Idee

Protest naukowców
pod Sejmem. 27 maja 2026 r.



FOT. KRZYSZTOF ZUCZKOWSKI/FORUM

Co zmieniłoby referendum?

Od polityków oczekujemy, że będą rozwiązywać problemy społeczne i gospodarcze. Rządziej myślimy o władzy, która polega na definiowaniu tych problemów

Konrad

Werner

Na początku czerwca Fundacja Polskiego Rozwoju wyszła z obywatelską inicjatywą referendalną pod hasłem „Tak dla Obywateli”. Intencją zaproponowanych tam siedmiu pytań jest „realne zwiększenie wpływu obywateli na funkcjonowanie państwa” (źródło: pap.pl). Jednym z pomysłodawców i zarazem twarzą całego projektu

jest menedżer branży lotniczej i działacz społeczny Maciej Wilk. Wcześniej współorganizował on akcję „Tak dla CPK”, która przyczyniła się do tego, że rząd Donalda Tuska wbrew przedwyborczym zapowiedziom zdecydował się na kontynuację projektu nowego hubu transportowego. Skuteczność tamtych działań sprawia, że również aktualną inicjatywę trzeba wziąć na poważnie.

Choć za całą sprawą stoi Fundacja Polskiego Rozwoju, to próżno szukać pośród proponowanych zagadnień jakiego-

kolwiek bezpośredniego związku z kwestią... rozwoju. Wśród proponowanych pytań referendalnych żadne nie odnosi się np. do tego, czy chcemy jako naród przeznaczyć znaczniejsze środki na uniwersytety i inne ośrodki badawcze. Choć brzmi to jak zapowiedź krytyki, w istocie mam na myśli coś innego.

Otóż wydaje mi się, że pomysł Wilka i jego współpracowników to ciekawy zakład z rzeczywistością. O ile dobrze rozumiem, manewr polega na tym, żeby stworzyć dla Polaków takie instrumen-

ty wpływu, aby potem mogli sami skutecznie wyartykułować szereg postulatów prorozwojowych. To jednak o tyle ryzykowne, że wcale nie ma pewności, czy Polacy w swej masie faktycznie... chcą rozwoju.

Lekcje profesorów Arrowa i Suszki

W każdej społeczności istnieją rozmaite interesy, wartości, preferencje i cele indywidualne, ale czasem musi ona wyrazić jakąś wolę jako całość. Temu służą wybory czy właśnie referenda. Sprawa nie jest jednak wcale tak prosta, jak mogłoby się wydawać. Pojawiają się takie kwestie jak próg frekwencji lub metoda przekładania liczby głosów na rozkład mandatów itp. Trzeba tu dokonać wyboru i zawsze jest to wybór między niedoskonałymi rozwiązaniami.

Ta niedoskonałość nie ma jedynie charakteru praktycznego. Jak wykazali w oświeceniu francuski filozof Ni- ➤

colas de Condorcet, a w XX w. wybitny ekonomista Kenneth Arrow w twierdzeniu o niemożliwości, co do zasady nie istnieje taka metoda sumowania czy agregowania racjonalnych preferencji jednostek do postaci preferencji zbiorowej, np. wszystkich Polaków, Niemców albo mieszkańców Warszawy, która gwarantowałaby racjonalność (w tym niesprzeczność) tej ostatniej.

Szczegóły formalne nie są tu dla nas istotne. Ważne jest to, że w sytuacji, w której każda metoda generowania zbiorowej preferencji w jakiejś sprawie jest niedoskonała, nie możemy liczyć na to, że załatwi to za nas jakiś niezawodny algorytm, a więc że mogą nas w tym wyręczyć jakieś ciało eksperckie albo sztuczna inteligencja. Nie mamy zatem złudzeń – sprawą zasadniczą staje się tu polityczne przywództwo wsparte z jednej strony, owszem, wiedzą ekspercką, z drugiej jednak – tą bliżej nieokreśloną, miękką kompetencją, którą można określić mianem intuicji czy zmysłu politycznego.

Niektórzy spośród czytelników pewnie pamiętają scenę z kultowego filmu „Rejs”, gdy w pierwszej kolejności uczony w prawie pasażer wymienia metody głosowania, a następnie kolejny podróżny na to powiada: „no świetnie, ale jaką metodą wybierzemy metodę głosowania?”. Niewiele jednak wie, że to dowcipne pytanie zadał prof. Roman Suszko, znakomity polski logik matematyczny i filozof, który jakimś zrządzeniem losu trafił na plan filmu. I jak to zwykle z tego rodzaju logiczno-filozoficznymi pytaniami bywa, mają one bardzo szerokie zastosowania. Kwestia, która mnie tu interesuje, jest następująca: są różne sposoby ustalenia tego, jaka jest w danej kwestii wola polityczna społeczeństwa czy narodu. Skoro nie istnieje jedna i niezawodna metoda, wybór jest zawsze dokonywany w konkretnej sprawie, w konkretnych okolicznościach i na podstawie określonej, także niedoskonałej diagnozy aktualnej sytuacji społecznej, potrzeb i nastrojów itd. Ktoś powie, że to błędne koło, bo musimy coś założyć na temat tego, co właśnie chcemy zbadać, a mianowicie co ludzie myślą i czują na jakiś temat. To jednak w istocie nie zarzut, lecz diagnoza – tak właśnie jest. Coś musimy już na wstępie założyć o Polakach, aby wybrać stosowną metodę ustalenia tego, czego dokładniej chcą Polacy.

Demokratyzacja centralnie sterowana

Działacze Fundacji Polskiego Rozwoju dokonali w moim przekonaniu pewnego założenia i jemu chcę tu poświęcić kilka słów.

Wyobraźmy sobie, że jako społeczeństwo musimy zdecydować, czy chcemy przeznaczyć 3 proc. rocznego PKB na badania i rozwój zgodnie z ostatnim postulatem protestujących przed Sejmem naukowców lub wprowadzić obowiązkowe szkolenie wojskowe dla wszystkich obywateli (w zasadzie nie musimy sobie tego wyobrażać – nawet jeśli nasi politycy nie chcą nam tych pytań zadawać, to faktycznie już stoimy przed oboma problemami). Każdy Polak

ma pewnie jakieś zdanie w tych sprawach i powstaje pytanie, jak wygenerować preferencję Polaków jako całości.

Jedna metoda to spytać o to wprost w referendum. Można jednak zakwestionować sensowność takiego rozwiązania, bo jakkolwiek istotne są te dwie sprawy, stanowią jednak jedynie element szerszego katalogu zagadnień, takich jak choćby polityka zagraniczna, organizacja i finansowanie służby zdrowia, system podatkowy, pomoc społeczna, ubezpieczenia emerytalne itd. Trudno sobie wyobrazić, aby w tak dużym, a jednocześnie dość kulturowo zunifikowanym państwie, jak Polska w przeciwieństwie do małej, acz zróżnicowanej Szwajcarii sensowne było przeprowadzanie częstych referendów w każdej z tych spraw. Wprawdzie przy dzisiejszym poziomie cyfryzacji nie wydaje się, aby to było nie do pomyślenia, ale nie chodzi tu nawet o techniczną wykonalność, lecz o sam ustrój przyjęty w Rzeczypospolitej. W jego dzisiejszych ramach na tak daleko idące zastosowanie instytucji referendum miejsca nie ma.

W moim przekonaniu istnieje jednak poważniejszy problem. Pytanie obywateli w każdej ze społecznie istotnych spraw zdaje się daleko idącą demokratyzacją władzy. Powstaje przy tym jednak (a jeśli nie powstaje, to w każdym razie stabilizuje się w postaci pewnej instytucji) nowy rodzaj (albo zakres) władzy – władza zadawania pytań. I choć w każdej ze spraw decyzja byłaby cedowana na obywateli i przez to decentralizowana, sama władza zadawania pytań pozostałaby silnie scentralizowana w rękach elity ogólnie decydującej o agendzie spraw. Władza podejmowania decyzji mającej rozwiązać jakiś problem, a zatem również odpowiedzialność za jej skutki jest wówczas dystrybuowana szeroko, ale władza artykułowania samych problemów pozostaje zamknięta w wąskim kręgu elit. To bardzo kuszące rozwiązanie dla tych ostatnich, bo zdejmuje z nich ciężar odpowiedzialności.

Jeśli przyjąć dowolny z powyższych argumentów, to wydaje się, że najwłaściwszym mechanizmem ustalenia, czy Polacy życzą sobie jakiegoś rozwiązania politycznego, np. finansowania badań na poziomie 3 proc. PKB, są cykliczne wybory na stosowne urzędy. Przede wszystkim do parlamentu, gdzie każda z partii przedstawia stosowny program, ten zaś może zawierać owe 3 proc., mniej lub więcej, albo też w ogóle tej sprawy nie poruszać.

Zaletami takiego rozwiązania są prostota i czytelność przypisania odpowiedzialności, a następnie pociągnięcie do niej w postaci utrzymania się przy władzy bądź jej utraty. Problemów z tym rozwiązaniem jest jednak mnogość i znamy je wszystkie z codziennego życia politycznego. Ja chciałbym tu zwrócić uwagę na to, że w tym dobrze nam znanym systemie co cztery czy pięć lat też de facto odpowiadamy na pytanie zadane przez władzę: „czy chcecie, żebyśmy zostali przy władzy, czy wolicie tamtych?”.

Problem z takim pytaniem jest taki, że można je porównać do bardzo dużego obrazu o bardzo niskiej rozdzielczości. Zawiera się w nim mianowicie

Jeśli decyzje są cedowane na obywateli, a władza artykułowania samych problemów pozostaje zamknięta w kręgu elit, zdejmując to z tych ostatnich ciężar odpowiedzialności

olbrzymia mnogość zagadnień, a wyborca jest zmuszony się do nich odnosić w jednym ideologicznym pakiecie. I tak, przykładowo, jeśli wstępna propozycja rządzącej partii dotycząca finansowania nauki podoba mi się najbardziej, ale zarazem jej wizję polityki zagranicznej uważam za naiwną, to głosując na tę partię (odpowiadając „tak” na pytanie o utrzymanie się przy władzy), firmuję obie propozycje. Ponadto skoro muszę wybierać między takimi zgrubnymi pakietami, politycy nie mają w tym systemie żadnych zachęt, by jakiś temat opracowywać bardziej szczegółowo, a następnie zoperacjonalizować w postaci konkretnych propozycji legislacyjnych czy zarządczych. Tym samym, nawet głosując na hasło „3 proc. na naukę”, nie wiem, na co w zasadzie głosuję.

W moim rozumieniu przedstawiciele inicjatywy Tak dla Obywateli chcą iść drogą pośrednią między rozwiązaniem tradycyjnym, tj. referendium z pytaniem zamkniętym typu „tak lub nie”, które określamy mianem wyborów, a demokracją referendalną rozdrabniającą rządzenie na mnogość pytań szczegółowych, które to jednak co do swej treści wciąż pozostają w gestii elity rządzącej.

Decentralizacja władzy artykułowania problemów

Oba wyżej dyskutowane rozwiązania pozostawiają władzę zadawania pytań w rękach elity politycznej wspartej przez odpowiednio certyfikowaną grupę ekspertów. Mówiąc o certyfikacji, nie mam tu na myśli dyplomów i podobnych dokumentów, lecz stosowny status w środowiskach, które nieformalnie uważają siebie za predystynowane do formułowania agendy państwa – do artykułowania problemów, przed którymi państwo i Polacy stoją lub mają stać. W tej grupie są odpowiedni profesorowie, dziennikarze, pisarze itd.

W rozwiązaniu pośrednim, tak jak ja je rozumiem, chodziłoby więc o to, aby w aktualnym ładzie prawnoinstytucjonalnym osiągnąć jeden zasadniczy cel: zdecentralizować i uczynić bardziej oddolną władzę artykułowania problemów. To rzecz zaskakująco rzadko dyskutowana. W praktyce środkiem do tego celu miałyby być wzmocnienie i zreformowanie istniejących już narzędzi oddolnego wpływu obywateli na sprawy państwowe.

Pierwsze z pytań proponowanych przez środowisko Tak dla Obywateli, mianowicie „czy jesteście za zniesieniem wymogu frekwencji dla mocy wiążącej referendum ogólnokrajowego i ważności referendum lokalnego?” (źródło wszystkich cytatów: takdlaobywateli.pl) w ogóle otwiera referendum jako oddolny kanał wpływu. Dotychczasowe

we ujęcie sytuacji referendum jako zejście elity władzy ze swej wieży i łaskawe wysłuchanie placu pod ogólnie określonymi warunkami (używam tu metafory zaczerpniętej z książki pt. „The Square and the Tower” Nialla Fergusona, której tytuł został niezbyt udanie przetłumaczony na język polski jako „Rynek i ratusz”). Zniesienie minimalnej frekwencji to odejście od kluczowego ogólnego narzędzia kontroli dostępu (ang. pojęcie gatekeeping dobrze się tu stosuje) nie tylko do władzy podejmowania decyzji, lecz także do interesującej mnie tu w szczególności władzy artykułowania problemów. Wiedza o nieistnieniu takiego mechanizmu blokującego stanowiłaby bowiem zachętę dla oddolnych inicjatyw obywatelskich do tego, aby wnieść do dyskusji sprawy, które mają wpływ na jakąś część społeczeństwa, ale z jakichś powodów są bezpośrednio dostrzegane tylko przez przedstawicieli określonej branży (weźmy choćby kwestię otwarcia rynku produktów rolnych na konkurencję z Ukrainy czy Ameryki Południowej albo – znów – finansowania badań).

Następne pytanie brzmi następująco: „Czy jesteście za wprowadzeniem obowiązku zarządzenia referendum ogólnopolskiego na wniosek co najmniej 500 tys. obywateli, w szczególności w sprawie uchylenia ustawy na wniosek złożony w ciągu 180 dni od dnia ogłoszenia ustawy w Dzienniku Ustaw?”. Istotne jest w nim to, że choć dolny limit poparcia wniosku o referendum pozostaje bez zmian, obowiązek przeprowadzenia referendum stanowi znów istotną zachętę dla społeczeństwa do artykułowania problemów, które być może są nieobecne w ogólnie sterowanym dyskursie politycznym.

Następnie mamy pytanie: „Czy jesteście za wprowadzeniem obowiązku rozpatrzenia przez Sejm projektu ustawy złożonej przez grupę co najmniej 100 tys. obywateli w terminie 12 miesięcy od daty wniesienia projektu ustawy do Marszałka Sejmu?”. Wprowadza ono do tradycyjnego systemu przedstawicielskiego oddolny mechanizm wpływu. I znów jego istotę widzę nie tyle w tym, że obywatele proponują jakieś rozwiązanie problemu, który elita władzy zna, lecz ta z jakiegoś powodu nie chce go podjąć. Oczywiście taka sytuacja też może mieć miejsce, ale w moim przekonaniu kluczowe jest coś innego: otóż taka obywatelska ustawa nie musi być przeciwieństwem głosowania w swej oryginalnej postaci. Sejm będzie miał pełne prawo ją poprawić w rezultacie dyskusji i porad ekspertów. Rzecz w tym, że taka ustawa może być narzędziem sygnalizacji problemu, który w przeciwnym razie w stricte ogólnym procesie ustawodawczym w ogóle nie zostałby dostrzeżony lub zostałby nieadekwatnie wyartykułowany.

Wreszcie mamy pytanie „Czy jesteście za wprowadzeniem możliwości udzie-

lenia poparcia pod wnioskiem o przeprowadzenie referendum lokalnego, ogólnokrajowego oraz pod projektem ustawy składanym przez grupę co najmniej 100 tys. obywateli za pośrednictwem systemu teleinformatycznego?”. Nie wnosi ono nic nowego na poziomie koncepcyjnym, ale odpowiada na kwestię praktyczną. Postuluje zastosowanie powszechnie używanych narzędzi technologicznych, aby ten nowy system opisany wyżej działał sprawnie.

Pozostałe pytania zdają się mniej związane z tym wszystkim, o czym pisałem wyżej, ale można – i moim zdaniem należy – je rozumieć w świetle zaproponowanej interpretacji. I tak po pierwsze mamy pytanie: „Czy jesteś za zastąpieniem budżetowego finansowania partii politycznych systemem dobrowolnych odpisów podatkowych dokonywanych przez obywateli na rzecz wybranych przez siebie partii, posłów lub senatorów?”. To bardzo kontrowersyjna sprawa, a powód jest szeroko dyskutowany: zdaniem krytyków tego rodzaju rozwiązanie może prowadzić do oligarchizacji życia publicznego. Być może tak faktycznie jest, niemniej swoistą amortyzacją tego ryzyka są pozostałe propozycje zmian prawnych, a tym samym należy ten konkretny pomysł rozważać jako element całości, a nie samodzielny postulat. W scenariuszu idealnym przy stosownym limicie indywidualnych dotacji poziom oddolnego finansowania partii politycznych byłby funkcją tego, w jakim stopniu dana partia konstruktywnie uczestniczy w inicjatywach politycznych wykorzystujących wyżej opisane narzędzia. Przykładowo partia, która regularnie glosuje za odrzuceniem obywatelskich ustaw bez ich dalszego procedowania, wówczas, gdy wsadzenie ich do tzw. sejmowej zamrażarki jest prawnie wykluczone, otrzymuje odpowiednio mniejsze wsparcie niż partia, która aktywnie współuczestniczy w każdym takim oddolnym procesie. Pozostaje oczywiście pytanie, na ile jesteśmy w stanie zbliżyć się do tego modelowego ideału w codziennej praktyce politycznej.

W tym świetle likwidacja Senatu i zmniejszenie liczby posłów to nic innego niż zwiększenie rozdzielczości systemu władzy, tj. umożliwienie bardziej precyzyjnego przypisania sprawstwa i odpowiedzialności poszczególnym członkom elity politycznej, jeśli chodzi o to, jak uczestniczą w postulowanym dialogu legislacyjnym ze społeczeństwem. W mniejszym Sejmie po prostu lepiej słychać, kto co mówi w tym dialogu. Kwestię likwidacji immunitetu pojmam jako w gruncie rzeczy sprawę poboczną.

Czy naprawdę chcemy zmiany?

Ktoś może więc spytać: gdzie tu niebezpieczeństwa? Jest jedno. O ile dobrze rozumiem intencję inicjatorów Tak dla Obywateli, idea jest taka, że konkretne projekty prorozwojowe co do zasady nie powinny być przedmiotem odgórnie narzuconego programu, odpowiednią na odgórnie artykułowane problemy. To odpowiednie grupy społeczne

powinny je oddolnie generować i – dzięki opisanym wyżej narzędziom – wnosić do szerszego dyskursu publicznego.

To oczywiście nie oznacza, że elita państwowa ma rezygnować z ambicji budowania CPK (Portu Polska) czy elektrowni jądrowych, ale zauważmy, że tego rodzaju wielkoskalowe projekty, które mogą rozpaść wyobraźnię każdego Polaka, są stosunkowo rzadkie. Jak już zaznaczyłem, można sobie wyobrazić wiele problemów o istotnym wpływie na kwestię rozwoju państwa i gospodarki jako całości, mających jednak taki charakter, że ich rozpoznanie i zrozumienie wymaga szczególnej wiedzy lub perspektywy (przykład naukowców lub rolników). Kanały oddolnego wpływu na elitę władzy tworzą szansę na to, że problemy te zostaną wprowadzone do dyskusji politycznej.

Optymistyczne założenie inicjatorów referendum, jeśli ich dobrze rozumiem, jest takie, że prędzej czy później, gdy nowy system okrzepnie, tego rodzaju inicjatywy prorozwojowe zaczęły oddolnie kiełkować. Innymi słowy, że istnieje w narodzie potrzeba zmiany modelu polskiej gospodarki, naszego miejsca w światowych łańcuchach produkcji; krótko mówiąc – że jest popyt na rozwój (który można uznać za swoisty popyt na instytucje, o czym pisałem w DGP z 13 stycznia 2023 r. w eseju „Jakiej Polski chcecie... naprawdę?”).

Z inspiracji m.in. najnowszą książką Jakuba Dymka pt. „Rewolucja ambicji” można postawić jednak następujące pytanie: czy faktycznie istnieje u nas wystarczający popyt na rozwój? Czy nie istnieje wpływowa i wystarczająca do zablokowania rozwoju grupa beneficjentów status quo? To znaczy – grupa beneficjentów systemu opartego na imporcie gotowej technologii i eksporcie wciąż relatywnie taniej pracy (w zaawansowanym przemyśle lub branży IT), wspartej importem jeszcze tańszej siły roboczej z całego świata (np. w rolnictwie). Czy to by oznaczało, że mamy na pokładzie zdrajców i agentów obcej sprawy? Nie albo niekoniecznie. Może to znaczyć tylko tyle, że mamy ludzi, którzy we własnym interesie będą się bronić przed reformą (interes może być realny lub wymaginowany, być może krótkoterminowy, ale ostatecznie każde rozpoznanie własnego interesu jest subiektywne).

Pozostawiam tę kwestię bez odpowiedzi. Mogę tylko wyrazić nadzieję na to, że optymizm Macieja Wilka i jego ludzi nie jest bezpodstawny, że mają dobrą intuicję polityczną. Alternatywą jest bądź trwanie przy aktualnym modelu aż do jego (rychłej, jeśli wierzyć choćby demografom) śmierci, bądź reforma centralnie sterowana w stylu chińskim. O wadach obu nie trzeba się rozwodzić.

©©



Konrad

Werner

doktor habilitowany
filozofii, Wydział
Filozofii Uniwersytetu
Warszawskiego

KOMUNIKAT



WYCIĄG Z OGŁOSZENIA O PRZETARGU

Prezydent Miasta Bydgoszczy

informuje o III przetargu ustnym nieograniczonym
na sprzedaż nieruchomości zabudowanej, stanowiącej własność Miasta Bydgoszczy,
położonej w Bydgoszczy przy ul. Ogrodowej 14 w obrębie 118

1. Oznaczenie nieruchomości:

– działka nr 39/2 o powierzchni 0,0781 ha, obr. 118, zapisana w księdze wieczystej kw nr BY1B/00009267/9.

2. Cena wywoławcza: 711 000,00 PLN (zw. z VAT).

3. Termin i miejsce przetargu: 17 września 2026 r. o godzinie 11.00 w Urzędzie Miasta Bydgoszczy w Ratuszu przy ul. Jezuickiej 2, sala Łochowskiego.

4. Wysokość wadium: 72 000,00 (PLN), Termin wpłaty wadium: 10 września 2026r.

5. Miejsce wywieszenia i publikacji pełnego ogłoszenia o przetargu:

- na tablicy ogłoszeń w budynku Urzędu Miasta Bydgoszczy przy ul. Grudziądzkiej 9-15 w budynku A.
- na stronach internetowych:
 - <http://bip.um.bydgoszcz.pl> (w zakładce Ogłoszenia o przetargach na zbycie nieruchomości),
 - <http://www.bydgoszcz.pl> (w zakładce Miejskie działki),

6. Szczegółowych informacji o sprzedawanej nieruchomości i warunkach przetargu można uzyskać w Wydziale Mienia i Geodezji Urzędu Miasta, przy ul. Grudziądzkiej 9-15, w budynku A, pokoju nr 218, tel.: 052/ 58 59 484, w godzinach 8.00 – 16.00 (pon. śr. czw.); 8.00 – 18.00 (wt.); 8.00 – 14.00 (pt.).

AUTOPROMOCJA

DGP | Dziennik
Gazeta Prawna

Czy Twoje umowy cywilnoprawne przetrwają kontrole PIP?



W poradniku **Państwowa Inspekcja Pracy – nowa era kontroli** omawiamy:

- Pełny przebieg kontroli PIP oraz procedury odwoławcze krok po kroku
- Kryteria i skutki podatkowo-składkowe przekwalifikowania umów na etaty
- Audyt kluczowych ryzyk: czas pracy, płace, legalność zatrudnienia i bhp
- Wymiana danych PIP z ZUS i KAS oraz nowe kontrole zdalne
- Odpowiedzialność karna pracodawcy, wykroczenia i nowe stawki mandatów

Kup na: sklep.infor.pl

Historia

Wojskowy ambulans używany
przez lwowskie pogotowie.
Wczesne lata 30. XX w.



FOT. Z ARCH. IZY WOJCIECHOWSKIEJ/FORUM

Ośrodki ostatniej nadziei

W II RP chronicznie brakowało lekarzy i szpitali.
Jedyne, czego nie brakowało, to ambicji, aby zapewnić
obywatelom dostęp do opieki medycznej

Andrzej

Krajewski

Problemy ze służbą zdrowia w Polsce są tak stare, jak niepodległość: zaczęły się już w 1918 r. i nie skończyły aż do dziś. Acz w porównaniu ze środkami oraz kadrami, jakimi dysponowała II RP, i wyzwaniami, z którymi musiała się zmagać, te obecne wydają się błahe. Choć przecież takie nie są.

Chore kasy

„Celem obowiązkowego ubezpieczenia na wypadek choroby tworzy się Kasy Chorych, po jednej na każdy powiat. W każdym mieście, licząc ponad

50 tys. ludności, może być utworzona za zezwoleniem Urzędu Ubezpieczeń oddzielna Kasa Chorych” – informowała ustawa O obowiązkowym ubezpieczeniu na wypadek choroby, przyjęta przez Sejm 19 maja 1920 r.

W tym czasie polskie wojska stacjonowały w Kijowie i wydawało się, że dopiero co odrodzona Rzeczpospolita szybko zacznie doganiać europejskie potęgi. Także na polu zapewniania obywatelom powszechnej opieki zdrowotnej. Wkrótce się przekonano, że bez posiadania odpowiednich zasobów nie da się zrealizować tak ambitnych celów. Po odwołaniu spod Kijowa przed upadkiem ocalało Polskę odniesione w ostatniej chwili zwycięstwo w Bitwie Warszawskiej. W przypadku służby zdrowia zmagania z brakiem

zasobów trwały całe międzywojenne dwudziestolecie.

Sieć ponad 200 kas chorych, do których wpływały składki płacone przez pracowników i pracodawców, zdołała wygospodarować etaty dla 1,6 tys. lekarzy na ok. 5,5 tys., których doliczono się w kraju. W państwie z ponad 30 mln mieszkańców deficyt osób z wykształceniem medycznym przedstawiał się dramatycznie. Podobnie rzecz się miała ze szpitalami. Funduszy starczało na utrzymanie ok. 70 państwowych ośrodków. Prawie dziewięć razy więcej placówek działało dzięki pieniądзом prywatnym oraz fundacyjnemu. Ale pacjenci musieli płacić za ich usługi.

W tym systemie nawet funkcjonowanie kas chorych nie prezentowa-

ło się wzorcowo. Dr Czesław Gawarecki we wspomnieniach nadesłanych w 1937 r. na organizowany przez ZUS konkurs pamiątek lekarzy odsłania kulisy państwowego systemu ubezpieczeń zdrowotnych. „Wielka idea sprawiedliwości społecznej – ubezpieczenia na wypadek choroby i niezdolności do pracy, wprowadzana w życie za pomocą Kas Chorych, zakrawała na sztyderstwo. W mowie potocznej nazywano instytucję tę po prostu «chorą kasą»” – pisze. Jak twierdzi, wzbudzały one powszechną niechęć, a czasami wręcz nienawiść z powodu funkcjonowania oraz jakości zatrudnionych kadr. „Przerażała masa urzędników i urzędników, między którymi były twarze o tak beznadziejnie tępym wyrazie, że trudno było spodziewać się, by mogły rozumieć, a tym bardziej dobrze wykonywać sens powierzonych im czynności”. Poza tym zagraniczni pracodawcy, którzy zainwestowali w II RP, robili, co mogli, żeby składek za zatrudnianych robotników nie płacić. Jak podkreśla Gawarecki, ów zagraniczny kapitał „egoistyczny, rabunkowy, przyzwyczajony przed wojną (I wojną światową – red.) do traktowania rynku polskiego jak kolorowej kolonii, zwalczał w sposób przebiegły i zamaskowany wszystko to, co mogłoby naruszyć jego niezwykle przywileje i zyski”.

Choć możliwe, że największą wadą całego systemu było jego skrajne upolitycznienie. Kasy chorych uznawano za partyjny łup i zasób synekur dla członków rządzących stronnictw. Tymczasem w pierwszych latach niepodległości rządy zmieniały się bardzo szybko, co rodziło dodatkowy chaos. „Pracownicy Kas, należący do jednej partii politycznej, uważali współpracowników członków innych partii za wrogów i nie tylko nie pomagali sobie w pracy, ale podstawiali nawzajem nogi i wystawiali wzajemnie na durni” – wspomina Gawarecki.

Recepta z USA

Melchior Wańkowicz, pisząc w 1937 r. wstęp do opublikowanego przez ZUS zbioru pamiętników lekarzy, wspomniął o marzeniach ich autorów. Dotyczyły one przede wszystkim tego, „co by należało zrobić, aby kobiety nie ginęły jak zwierzęta w mękach porodowych, aby młodzi chłopcy i dziewczęta, u których stwierdzi się początki gruźlicy, nie byli rzucania z całą bezzmysłnością na pastwę śmierci, aby dzieciom jaglica nie wyżerała oczu, aby przecinać w czas straszliwe dzieło chorób wenerycznych”. Plagi te szerzyły się bez przeszkód, gdyż dostęp do opieki medycznej pozostawał luksusem, a zachowywanie higieny w biedniejszych rejonach kraju pozostawało czymś abstrakcyjnym.

Ale receptę, jak sobie radzić z gigantycznym wyzwaniem, dysponując ograniczonymi zasobami, znaleziono po drugiej stronie Atlantyku. „10 listopada 1921 r. nowojorski projekt pilotażowy East Harlem Health Center został otwarty z wielką pompą” – pisze w opracowaniu „Rockefeller Foundation and Health Demonstration Projects 1920–1940” Patricia D’Antonio. Założona w 1913 r. przez najbogatszego człowieka świata Johna D. Rockefellera fundacja określiła w statucie, że jednym z jej głównych celów będzie wspieranie rozwoju medycyny oraz powszechnej opieki zdrowotnej. Przez pierwsze lata posiadane środki kierowała na finansowanie badań nad nowatorskimi lekami i terapiami. Jednak Rockefeller wraz z synem postanowili pochylić się także nad losem ubogich z najbiedniejszych dzielnic wielkich miast. Takich jak zamieszkiwany przez imigrantów z Włoch czy Irlandii nowojorski East Harlem. Przyjęto założenie, że zapewni się im usługi medyczne w możliwie najbardziej efektywny sposób z racji posiadania ograniczonych środków.

„Projekt świadomie określał się mianem «domu towarowego zdrowia i opieki społecznej», nawiązując do sukcesu miejskiej centrów, które gwarantowały możliwość zakupu wszystkiego, co tylko można sobie wyobrazić, w jednym miejscu. Podobnie East Harlem Health Center zgromadziło ponad dwadzieścia trzy lokalne agencje zdrowia i opieki społecznej w jednym, nowo wyremontowanym budynku, oferując tym samym «kompleksową obsługę» w zakresie skoordynowanych usług zdrowotnych i socjalnych” – tłumaczy D’Antonio. Dzięki koordynowaniu działań lekarzy chciano poprawić skuteczność diagnozowania oraz eliminować powielanie procedur. A tym samym zredukować koszty.

Po sukcesie pierwszego centrum Fundacja Rockefellera zaczęła budować sieć „Health Center” w kolejnych amerykańskich miastach, a także myśleć o rozpropagowaniu idei w biedniejszych krajach Europy. Chęć nawiązania współpracy z Amerykanami wyraził polski rząd i 10 lipca 1922 r. Ministerstwo Zdrowia Publicznego podpisało umowę z Fundacją Rockefellera. Ta przekazała 292 tys. dol. na budowę i wyposażenie Państwowej Szkoły Higieny w Warszawie. Jej zadaniem było kształcenie personelu medycznego, a więc nie tylko lekarzy, lecz także pielęgniarek, inspektorów sanitarnych oraz personelu biurowego.

Następnie we współpracy z tą samą fundacją w kwietniu 1925 r. wyposażono i uroczyście otwarto na warszawskim Mokotowie przy ul. Puławskiej pierwszy ośrodek zdrowia. „Finansowany początkowo przez Fundację Rockefellera, został następnie przejęty przez samorząd Warszawy i zyskał nową nazwę: Pierwsza Miejska Stacja Higieny Zapobiegawczej” – opisuje w monografii „Ośrodki zdrowia jako ogniwo publicznej służby zdrowia w Drugiej Rzeczypospolitej” Bartosz Pasternski.

Wkrótce dzięki wsparciu Fundacji Rockefellera utworzono jeszcze trzy inne wzorcowe ośrodki dla powiatów warszawskiego, skierniewickiego i bédzińskiego. „Placówki te były traktowane jako zespoły doświadczalne dla przyszłego zastosowania w całym kraju. Działalność wszystkich czterech ośrodków była finansowana przez fundację w niewielkiej sumie przez okres 5 lat. Następnie koszt utrzymania ponosiły samorządy” – opisuje Pasternski.

Jednocześnie w Ministerstwie Opieki Społecznej, które przejęło nadzór nad wzorcowymi ośrodkami, planowano stopniowe tworzenie ich sieci oplatającej cały kraj.

Kropla w morzu potrzeb

„Ośrodek miał być zlokalizowany w miejscu dogodnym, z którego ludność, a w szczególności matki z dziećmi, mogła swobodnie korzystać. W zaleceniu wskazano, żeby powiaty zostały podzielone na okręgi, w których miały znajdować się placówki medyczne. W przypadku miast zaznaczono, że jeden ośrodek miał przypadać na 50 tys. mieszkańców” – relacjonuje Pasternski plany Ministerstwa Opieki Społecznej, które powstały w 1928 r. Dotyczyły one ogólnokrajowej sieci ośrodków zdrowia. Miało ich powstać 1,5 tys. Tymczasem przez następne dwa lata udało się utworzyć zaledwie 180. Zaś w 1934 r. działało w Polsce dokładnie 259 ośrodków zdrowia. Wielki kryzys, który ogarnął świat i uderzył w gospodarkę II RP, sprawił, że na więcej brakowało pieniędzy.

Ten na Mokotowie wedle opisu Pasternskiego prowadził „specjalistyczne poradnie: przeciwgruźliczą, przeciwjagliczą, przeciwmalariyczną, laryngologiczną, dla matek, kobiet ciężarnych i dzieci do lat siedmiu. Miał też gabinet dentystyczny i całoroczne sanatorium dziecięce”. Jego wyposażenie kosztowało niebagatelną na tamte czasy sumę 200 tys. zł. W przypadku placówek na prowincji ich największym i często jedynym atutem pozostawał personel. W jego

skład wchodził lekarz rejonowy (kierował ośrodkiem), pielęgniarka społeczna, położna społeczna oraz kontroler sanitarny.

Szczególnie ważną okazywała się pielęgniarka. Jej zadaniem było przeprowadzanie wywiadów w domach pacjentów, monitorowanie warunków bytowych rodzin i wspieranie matek opiekujących się małymi dziećmi. Poza tym z ośrodkiem byli związani pracownicy terenowi. „Pomocniczy personel sanitarny w terenie składał się z lekarzy gminnych, położnych oraz osób wykonujących sekcję zwłok” – opisuje Pasternski.

W teorii prezentowało się to dobrze, ale nawet najbardziej przemyślana struktura nie mogła funkcjonować efektywnie, gdy ośrodków zdrowia było mało, zaś liczba lekarzy rosła bardzo wolno. „Jak podawał Mały Rocznik Statystyczny z roku 1938, w 1935 r. było w Polsce 12 427 lekarzy, co dawało niski na tle innych państw europejskich wskaźnik 3,7 na 10 tys. mieszkańców” – podkreśla Pasternski. Tymczasem chorych nie ubywało. To wywierało olbrzymi wpływ na codzienną pracę medyków oraz jej jakość. Poza tym nie wszyscy lekarze odczuwali powołanie, aby z zaangażowaniem realizować misję.

Jan Hozer w pamiętniku „Strzykawką i piórem” opisał, jak wyglądała sytuacja w ośrodku zdrowia w powiecie, którego nazwy nie chciał ujawnić, a gdzie przyjechał zastąpić miejscowego medyka. „Lekarz przyjmował dziennie ok. 60 pacjentów, przy czym umiał to załatwić w ciągu godziny” – zanotował. „Lekarz ten wszystkich klepał po ramieniu, wszystkich pocieszał bez względu na rodzaj choroby, wszystkim robił nadzieję rychłego wyleczenia” – dodał.

Hozer zastępował kolegę przez pięć tygodni, gdy ów wyjechał na urlop. Jak przyznał, udawało mu się z trudem obsłużyć dziennie ok. 40 pacjentów. „Ubezpieczeni wytrzeszczali na mnie oczy, kiedy chciałem ich badać, oburzali się na próby wprowadzenia zmian w leczeniu, czy ograniczania ilości leków” – relacjonował. Po czym opisał, jak miejscowy lekarz czerpał korzyści z zalecania pacjentom kuracji wymagających regularnych zakupów w sklepiek znajdującym się na terenie ośrodka zdrowia. „Pamiętam rodzinę pana K., urzędnika samorządowego, złożoną z małżeństwa i dwojga kilkuletnich dzieci, która stosowała sobie kąpiele z soli ciechocińskiej w domu codziennie przez okrągły rok. Pani K. przychodziła (...) co trzeci dzień ze specjalnie użytym woreczkiem i przesypywała sobie z worka określoną ilość szufelek soli. Sklepik prosperował bardzo dobrze, obrót był duży” – ironizował Hozer.

Gdy kiedyś zagadnął ową panią, czy kuracja przepisana przez kolegę tak bardzo poprawiła stan zdrowia jej rodziny, zapytana nie mogła się jej nachwalić. „Cóż miałem tej pani tłumaczyć – wiara uzdrawia!” – zanotował w pamiętniku.

Coś z niczego

„Zatrudnienie personelu medycznego w ośrodkach zdrowia pozostawało w ścisłej relacji z niedoborami osobowymi w całej służbie zdrowia. Ogólna liczba zatrudnionych w tych placówkach wzrosła z 1828 osób w 1936 r. do 2008 w 1937 r.,

co jednak w dalszym ciągu nie zaspokajało potrzeb” – podkreśla Pasternski.

Czyniło to na prowincji z lekarza osobę wyjątkową, bo dostęp do niego pozostawał rzeczą trudno osiągalną. Acz tam, gdzie panowała największa bieda, czyli w galicyjskich wsiach oraz na Kresach Wschodnich, miejscowa ludność nie darzyła nowoczesnej medycyny wielkim zaufaniem. „Mieszkańcy z niedowierzaniem i niechęcią zgłaszali się po pomoc do lekarzy. Często trzeba było przekonywać rodzinę chorego lub jego samego do zastosowania odpowiednich metod leczenia” – relacjonuje Pasternski. „Do tego korzystano z pomocy medycznej tylko wtedy, kiedy dotychczasowe metody walki z bólem nie przynosiły rezultatu oraz kiedy widmo śmierci było bliskie, co właściwie wykluczało skuteczną pomoc profesjonalistów” – uzupełnia.

Na dokładkę trwające niemal dekadę wojny – najpierw światowa, a następnie Polski z bolszewicką Rosją – przyniosły nasilenie się epidemii chorób wenerycznych. Nie wygasła ona w czasach pokoju. Lekarz Stefan Giebocki w pamiętniku opisuje, jak u pewnej chłopki, posługującej w gospodarstwie rolnym pod Bydgoszczą, zdiagnozował rzeżączkę. „Po pewnym czasie zjawiała się u mnie żona tego rolnika, skarżąc się na dolegliwości, które przy bliższym zbadaniu okazują się rzeżączką. W międzyczasie zjawia się też i sam p. R., który przyznaje, iż przez stosunek ze służącą nabawił się powyższej choroby, którą następnie obdarował żonę. Żona śpi razem z pięcioletnią córeczką i ta również okazuje się chora” – wylicza Giebocki. „Ale p. R. ma przy sobie ojca, sześćdziesięcioletniego starca, który też nie był widać obojętny na wdzięki służącej” – i u niego lekarz zdiagnozował chorobę weneryczną.

Z takim modelem szerzenia się epidemii usiłowały walczyć ośrodki zdrowia. Organizowały odczyty z pokazami filmowymi, kolportowały ulotki edukacyjne, uczyły pacjentów podstawowych zasad higieny, a przy okazji prowadziły akcje szczepień. Stopniowo też dołączano do nich poradnie specjalistyczne, zajmujące się leczeniem gruźlicy, jaglicy oraz chorób wenerycznych. W drugiej połowie lat 30. udało się też wreszcie zwiększyć liczbę samych ośrodków zdrowia do ponad 600. Wówczas zaczęto osiągać efekt skali. „W 1931 r. z ośrodków zdrowia skorzystało łącznie 435 tys. osób, zaś porad lekarskich udzielono 981 tys. W 1935 r. nastąpił wzrost liczby osób korzystających do 705 tys., a liczba porad wyniosła 1 462 000. W 1936 r. z ośrodków zdrowia skorzystało 1 085 329 osób, udzielono 2 233 014 porad. Rok później liczba ta wzrosła do 1 407 272 osób” – wylicza Bartosz Pasternski.

Skokowo rosnąca liczba podstawowych usług medycznych zaczęła się przekładać na statystyki chorób. Malala śmiertelność niemowląt, liczba zgonów z powodu gruźlicy spadła o ponad połowę, odnotowano nawet powolne obniżanie się liczby zakażonych chorobami wenerycznymi. Śmiesznie skromnymi środkami udawało się nieść pomoc bardzo potrzebującym jej ludziom. Jak zauważa w pamiętniku doktor Czesław Gawarecki: „Udostępnianie medycyny zwykłemu śmiertelnikowi, a nie tylko bogaczowi, nie jest sprawą koniunktury gospodarczej, ale organizacji”. A im lepsza, tym więcej daje się osiągnąć. ©



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Na ile wyceniono spokój na Haiti

Rafał Woś

Jeśli zdarzyło wam się śledzić fazę grupową piłkarskiego mundialu, to trafiliście być może na jeden z trzech meczów reprezentacji Haiti. Wyspiarze wiele na turnieju nie osiągnęli, ale i tak sam ich start był pewną sensacją. Nie jest przecież tajemnicą, że już od dekady życie w tym liczącym 11 mln obywateli karaibskim państwie trudno nazwać sielanką. Haiti uchodzi za kraj fantomowy albo upadły – zależnie od przyjętej terminologii.

Na Haiti ostatnie wybory prezydenckie odbyły się w 2016 r.: wygrał je Jovenel Moïse. Tuż przed upływem pięcioletniej kadencji, w lipcu 2021 r., został zamordowany przez jeden z gangów, które toczą między sobą walkę o polityczne i gospodarcze wpływy w państwie. W ostatnich latach na czoło tej rywalizacji wysunął się były policjant Jimmy „Barbecue” Chérizier, stojący na czele Viv Ansanm, która jest sojuszem największych organizacji przestępczych w stolicy kraju, Port-au-Prince. Gang kontroluje w praktyce sporą część kraju i gospodarki, a tam, gdzie jego wpływy nie sięgają, sieje zniszczenie, prowadząc ataki na infrastrukturę, garnizony policyjne czy punkty poboru podatków.

Sam „Barbecue” głosi co jakiś czas chęć odprężenia i wejścia do normalnego życia politycznego. Na to jednak nie godzą się wspierane przez ONZ kolejne tymczasowe władze, które uważają go za kryminalistę. Klincz trwa w najlepsze, a w zasadzie: najgorsze. Oficjalnie władze są bowiem zbyt słabe, by zaprowadzić na Haiti nie tyle nawet swoje, co w ogóle jakiegokolwiek porządku. O ile jeszcze w 2023 r. państwowa policja liczyła ok. 15 tys.

funkcjonariuszy, o tyle dziś liczba ta stopniała podobno do 9 tys. Pozostali porzucili służbę albo przeszli na stronę zorganizowanej przestępczości.

Pewna nadzieja jest wiązana obecnie z Ameryką. Zwłaszcza od czasu pojawienia się w Białym Domu Donalda Trumpa, którego administracja nieraz deklarowała, że USA są zainteresowane budowaniem wpływów w zachodniej hemisferze. I faktycznie w kwietniu tego roku powołano do życia twór o nazwie Gang Suppression Force (GSF), Oddział ds. zwalczania gangów. Mandat dla misji uchwaliła z inicjatywy Amerykanów Rada Bezpieczeństwa ONZ; Chiny i Rosja, które dotąd były sceptyczne, wstrzymały się od głosu.

Nadzieje związane z GSF studzi fakt, że od 1990 r. na Haiti działało już 11 misji pokojowych i stabilizacyjnych. I żadna nie osiągnęła większych sukcesów; na czele z wyjątkowo nieudolną Międzynarodową Misją Wsparcia Bezpieczeństwa (MSS), która była aktywna na wyspie w latach 2023–2025. Tym razem ma być inaczej – za pieniądze Kanady, Niemiec, USA i Francji ma zostać powołane do służby w policji 5,5 tys. osób, które mają rozprawić się z gangami.

Na ile wyceniono spokój na Haiti? Cóż, całkowity koszt operacji nie robi wrażenia – w sumie będzie to ok. 170 mln dol. Dla porównania: za 154 mln dol. Manchester City kupił niedawno pomocnika reprezentacji Anglii Eliota Andersona.

©P

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność”

Granice, których nie widać

Granica nie musi zabijać ani więzić, wystarczy, że ograniczy dostęp – do szkoły, pracy, do sieci kontaktów. Resztę robi czas

Granice kojarzą się z mapami lub kontrolą paszportów. Lecz te, które zmieniają ludzkie życie, zwykle nie mają oznaczeń ani strażników. Bywają niewidoczne. Czasem to ulica. Czasem decyzja administracyjna. A czasem czyjeś terytorium, na które lepiej nie wkraczać.

Badanie Raja Chetty’ego oraz Nathaniela Hendrena (oba z Uniwersytetu Harvarda), wykorzystujące dane 5 mln amerykańskich rodzin, pokazuje prawidłowość: każdy rok dzieciństwa w lepszej okolicy podnosi przyszłe zarobki średnio o 0,5 proc. Autorzy porównali rodziny przeprowadzające się w różnym czasie, żeby wyodrębnić efekt ekspozycji – realny wpływ sąsiedztwa, a nie tylko fakt, że bogatsi rodzice wybierają dogodniejsze miejsca do zamieszkania. Efekty te są liniowe – im wcześniej dziecko przeprowadzi się do lepszego środowiska, tym lepsze osiągnie wyniki w przyszłości. Nie ma tu magii, jest tylko codzienny wpływ otoczenia. Dzieci mieszkające kilka ulic dalej trafiają do innych szkół, czerpią z innych wzorców i budują inne sieci kontaktów.

Jeszcze brutalniej widać to tam, gdzie granic nie wyznaczają administracje, lecz przemoc. Zespół Nikity Melnikova (Nova School of Business and Economics) zbadał wpływ gangów MS-13 i Barrio 18 na rozwój Salwadoru. Naukowcy wykorzystali naturalny eksperyment: w 1996 r. zmiana polityki imigracyjnej USA doprowadziła do deportacji liderów gangów. A ci po powrocie do kraju wraz ze swoimi ludźmi

przejęli kontrolę nad konkretnymi dzielnicami stolicy.

Badacze porównali losy ludzi żyjących zaledwie 50 m od siebie, których rozdzieliła niewidzialna linia wpływów gangów. Wyniki są następujące: mieszkańcy stref kontrolowanych przez przestępców mają dochody niższe średnio o 350 dol., gorsze warunki mieszkaniowe i niższe wykształcenie. Co istotne, przed 1996 r. te różnice nie istniały. Granica wpływu gangu stała się też barierą nie do przebicia – uniemożliwia dojazdy do np. lepiej płatnej pracy, skazując ludzi na biedę. Wystarczy kilkadziesiąt metrów, by życie legło w gruzach.

Granice nie muszą być współczesne, by wciąż skutecznie więzić. Melissa Dell (MIT) udowodniła, że linia wyznaczona w Peru w XVI w. – granica obszaru przymusowej pracy, zwanej mitą – do dziś definiuje poziom życia mieszkańców tego kraju. Choć system zniesiono w 1812 r., cztery stulecia później wciąż widać jego skutki w postaci wpływu na zamożność i zdrowie ludzi. Na obszarach objętych kiedyś mitą konsumpcja jest o 25 proc. niższa, a o 6 pkt proc. więcej dzieci cierpi na niedożywienie objawiające się zahamowaniem wzrostu.

Jak to możliwe? Negatywne dziedzictwo przetrwało, bo, po pierwsze, poza strefą przymusu powstały duże majątki (hacjendy), których właściciele wywalczyli dla siebie silne prawa własności. W strefie dawnej mity ziemia była wspólna i niechroniona, co po latach ułatwiało jej konfiskatę i powodowało

chaos. Słabość praw do ziemi oraz masowe wywłaszczenia skutkowały wybuchem licznych buntów chłopskich, a także długotrwałym wzrostem przestępczości. Po drugie, właściciele hacjend skutecznie lobbowali za budową dróg, pozyskując fundusze rządowe. Miało to negatywny wpływ na postmitę, bo dawne dystrykty przymusowej pracy do dziś pozostają znacznie gorzej zintegrowane z resztą kraju. Brak infrastruktury uniemożliwia drobnym rolnikom dostęp do rynków zbytu, zmuszając ich w dużej mierze do prowadzenia rolnictwa nastawionego wyłącznie na przetrwanie.

Co łączy amerykańskie przedmieścia, salwadorskie getta i peruwiańskie wioski? Ograniczenie wyboru. Granica nie musi zabijać ani więzić, by działać skutecznie. Wystarczy, że ograniczy dostęp – do szkoły, pracy, do sieci kontaktów. Resztę robi czas. Najbardziej niepokojące jest to, że granice te często wydają się racjonalne. Segregacja „porządkuje” miasto. Strefy wpływów „stabilizują” przemoc. Granice administracyjne „ułatwiają zarządzanie”. Ale każdy z tych argumentów pomija koszt, który ponoszą ludzie po niewłaściwej stronie linii – koszt utraconych szans, którego nie widać w statystykach i który kumuluje się przez dekady. I być może najtrudniejsza prawda jest taka: najskuteczniejsze granice to te, których nie zauważamy.

©P

Słuchaj podcastu GRAPE | Tłoczone z danych „Nierówności przestrzenne: czemu jedno miasto bogacą się szybciej?”

Aleksandra

Makarska

Autorka jest ekonomistką GRAPE